POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 17-go stycznia 1942r.* **Rok IV. Nr. 3**

Tragiczna próba inteligencji polskiej

" W Polsce termin " inteligent " oznaczał człowieka, należącego do warstwy uprzywilejowanej, który miał moralne prawo nic nie robić. Polska chorowała na nadprodukcję inteligencji i to w najgorszym gatunku."

Tymi słowy rozpoczęła niemiecka prasa okupacyjna olbrzymią nagonkę na polską inteligencję, starając się ją zdyskredytować i poniżyć w oczach warstwy chłopskiej i robotniczej, obarczając ją najcięższymi zarzutami natury moralnej i społecznej. Ta kampania prasowa Niemców,wszczęta we wrześniu 1939, trwa z tym samym natężeniem, po dziś dzień. Rozpoczął ją zaś sam Generalny Gubernator Frank w swej pierwszej odezwie, która oskarżała porówni polski obóz rządzący przed wrześniem i sfery inteligenckie, jako istotnych i głównych winowajców klęski wojskowej i załamania się państwowości polskiej.

Kampania prasowa od razu szła w parze z tak okrutnym, bezwzględnym i planowym niszczeniem warstwy inteligenckiej, że próżno chyba byłoby szukać dla tego zjawiska odpowiedników w historii świata. Uczeni; profesorowie wyższych uczelni, nauczycielstwo szkół średnich i powszechnych, duchowieństwo, świat literacki i dziennikarski, przedstawiciele wolnych zawodów, szczególnie adwokatura—jednym słowem, cała warstwa inteligencka zaczęła wypełniać warszawski Pawiak, krakowski, ponury gmach przy Montelupich, czy kazamaty poklasztornego budynku w Wiśniczu. A więzienia te były tylko etapem przejściowym w męczeńskiej wędrówce do obozów koncentracyjnych w Oranienburgu, Dachau, Mauthausen czy Oświęcimiu, gdzie przedstawiciele zawodów inteligenckich stanowili i stanowią przytłaczającą większość.

Nigdy, nawet w dobie największych prześladowań w czasie zaborów w XIX wieku, polskie życie kulturalne nie było przedmiotem tak systematycznych a bezwzględnych prześladowań. Bledną wobec nich i dziecinną igraszką wydają się zakusy germanizacyjne czy rusyfikacyjne XIX i początku XX wieku, plany Bismarcka czy Murawiewa, Paskiewicza czy Apuchtina.

Czyż trzeba przypominać, że wkraczając jesienią r. 1939 do Krakowa Niemcy zawlekli do kaźni obozu koncentracyjnego przedstawicieli najstarszej wszechnicy polskiej? 17 z nich przypłaciło życiem przywiązanie do swej uczelni, dokumentując przed światem bezkompromisową postawę polskiej nauki.

Czyż trzeba przypominać, że latem r. 1941, zajmując Lwów, Niemcy powtórzyli ten sam perfidny a brutalny atak wobec uniwersytetu i politechniki? I jakby nie dosyć było zorganizowanego barbarzyństwa obozów koncentracyjnych rozstrzelali prof. Kazimierza Bartla.

Czyż trzeba przypominać, że wiosną r. 1941 przedmiotem ślepych represyj okupanta stali się uczeni warszawscy — rozstrzelani profesorowie Stefan Kopeć i Kazimierz Zakrzewski?

Czyż trzeba przypominać, że w ciągu pierwszych 18 miesięcy wojny straty osobowe wśród personelu naukowego polskich szkół akademickich przekroczyły liczbę 70 osób?

Czyż trzeba przypominać, że w diecezji pomorskiej na ogólną liczbę 700 księży około 600 znajduje się w obozach koncentracyjnych? Czyż trzeba przypominać, że 80% duchowieństwa diecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej znajduje się w rozmaitych obozach i więzieniach niemieckich?

Czyż trzeba przypominać, że przez więzienie Wiśnicza przeszedł olbrzymi odsetek małopolskiego nauczycielstwa szkół średnich, tak, jak przez dobrze znane z dziejów polskiego męczeństwa XIX i początku XX wieku kazamaty Pawiaka przewinęła się olbrzymia część warszawskiej inteligencji z adwokaturą, nauczycielstwem i klerem na czele?

Dokonuje się w tej chwili w Polsce niszczenie dobra najcenniejszego — zatrata człowieka. " Polska—jak pisze jedno z tajnych pism krajowych—ma wyjść z tej wojny bez żadnych zasobów intelektualnych w ludziach. To będzie najcięższą stratą."

Ale już niezależnie od brutalnych represyj, od aresztowań i zsyłek do obozów koncentracyjnych, stoimy dziś w obliczu innego, niezmiernie groźnego objawu dla przyszłości życia kulturalnego w Polsce. Musimy się dziś liczyć z niesłychanie daleko posuniętymi stratami wśród starszego pokolenia polskich pracowników kultury. Zmora życia okupacyjnego jest tak ciężka i dławiąca, że dosięga nawet tych, co żyją we względnym, lecz jakże złudnym spokoju.

Doniesienia za okres maj-wrzesień 1941, jakie nadeszły z kraju potwierdzają ten wniosek, przynosząc nową, bolesną listę strat. W czerwcu zmarł w Warszawie Ludwik Krzywicki, socjolog, ekonomista, historyk ruchów społecznych i etnograf—jeden z najlepszych przedstawicieli schodzącego z widowni pokolenia warszawskiego pozytywizmu. W lipcu zmarł po krótkiej chorobie Zygmunt Wójcicki, profesor botaniki na Uniwersytecie warszawskim, w sierpniu zmarł nagle na serce prof. Andrzej Pszenicki, b. rektor Politechniki Warszawskiej. W dniu 1 września zmarł na tyfus plamisty rektor Wyższej Szkoły Handlowej prof. Bolesław Miklaszewski, wybitny chemik, działacz społeczny. W dniu 18 września w Warszawie zmarł po długotrwałej chorobie, której się nabawił ubiegłej zimy w nieopalanym mieszkaniu, Zygmunt Mocarski, dyrektor Książnicy Miejskiej im. Kopernika w Toruniu, wysiedlony w swoim czasie z tego miasta. Był on nie tylko autorem ciekawych studiów historycznych z przeszłości Torunia, ale także pobudzicielem i motorem tego ożywienia ruchu naukowego, jakieśmy widzieli w ostatnich latach życia toruńskiego. W więzieniu na Pawiaku zmarła Irena Maternowska, prof. nauki o środkach spożywczych pochodzenia zwierzęcego na wydziale weterynaryjnym Uniwersytetu Warszawskiego. W nocy z 12 na 13 czerwca rozstrzelano w Warszawie spośród publicystów i literatów: Stanisława Piaseckiego, redaktora " Prosto z Mostu " i Witolda Hulewicza, tłumacza poetów niemieckich, autora książki o niemieckim kompozytorze Beethovenie.

W tych ostatnich wiadomościach mieści się jakby w skrócie męczeństwo życia największego skupiska inteligenckiego na ziemiach polskich w tej chwili: Warszawy. Ale nie tej Warszawy uśmiechniętej i rozbawionej, której obraz wynieśliśmy z Polski przedwrześniowej, ale tej Warszawy wynędzniałej, zaszczutej terrorem Gestapo, lecz zdeterminowanej w woli walki i odporu, Warszawy, która odnalazła drogę do swych najbardziej bohaterskich tradycji roku 1864 i 1905.

Skutki tego przetrzebiania szeregów warstwy inteligenckiej, najbardziej dotkliwe i znaczące w świecie uniwersyteckim, unaoczniają nam rozmiary *olbrzymiego kryzysu osobowego*, jaki przeżywa w tej chwili cała polska inteligencja, a szczególnie świat naukowy. Ten potworny ubytek ludzi jest stratą najdonioślejszą, najgroźniejszą, jeśli idzie o przyszłość. To wymieranie polskich pracowników kulturalnych, nawet tych, co uniknęli aresztowań stawia przed oczy nasze ten cały szereg trudnych zagadnień, z jakimi wypadnie nam się borykać w chwili powrotu do kraju, w momencie odbudowy polskiego życia naukowego i literacko-artystycznego.

Pogrążeni w odmęcie drobnych spraw codziennego życia, przysypywani natłokiem wydarzeń wojennych, tracimy proporcję w ocenie zjawisk, nie mamy dostatecznej wyobraźni, by uzmysłowić sobie z jednej strony rozmiary szczerb i luk w naszym życiu kulturalnym, a z drugiej ogrom zadań ciężkich i odpowiedzialnych, jakie spadną na nas w chwili powrotu do kraju.

Niech na jednym konkretnym przykładzie, na chybił trafił wyjętym z tego potwornego rejestru strat kulturalnych kraju, wolno będzie pokazać rozmiary i następstwa tego zjawiska. Oto Wydział Rolniczy Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie liczył przed wybuchem wojny ośmiu profesorów zwyczajnych i czterech nadzwyczajnych. Dziś żyje już tylko trzech profesorów zwyczajnych i trzech nadzwyczajnych,—sześciu zmarło na skutek przejść w obozach koncentracyjnych, bądź w wyniku działań wojennych. Praktycznie więc praca Wydziału, tak ważna ze względu na rolniczy charakter kraju, jest jeśli nie wprost uniemożliwiona, to w każdym razie ogromnie na lata całe utrudniona. A podobnych przykładów z życia uniwersyteckiego w innych środowiskach można by zacytować więcej.

A cóż dopiero mówić—przechodząc od zjawisk jednostkowych do zbiorowych—o bezczynności i stracie czasu całego pokolenia młodzieży uniwersyteckiej i szkół średnich w kraju. Straty są tu tak wielkie, dla całości gospodarki narodowej, że ich wycenienie i oszacowanie nie da się w tej chwili nawet w przybliżeniu dokonać.

* * *

Kraj przemyślał głęboko i zrozumiał, czym jest dla przyszłości narodu tępienie warstwy inteligenckiej, która choć najdotkliwiej bieduje, jest nieuległa, politycznie jak najbardziej czynna. Wspólna nędza, ogromne zubożenie warstwy inteligenckiej zbliżyło ją do klas pracujących pod względem warunków życia. Zasypane zostały w dużej mierze różnice społeczne.

Ale ta jedność, jaka się w tej chwili w Kraju wytwarza, nie jest tylko jednością nędznych form bytowania materialnego, ona jest przede wszystkim jednością myśli i odczuwań, wspólnych dążeń, wspólnej postawy w walce z wrogiem. Szczuta przeciwko inteligencji przez okupanta masa robotnicza i chłopska odpowiedziała wzgardliwym milczeniem na jego pokuszenia, gdyż doskonale uświadamia sobie, że inteligencja jest zasadniczą częścią narodu, że bez niej życie narodowe byłoby wyjałowione, zubożałe i kalekie.

Kraj—jak wskazuje wyrazicielka jego opinii publicznej, prasa tajna—poddał gruntownej rewizji całe zagadnienie roli inteligencji w życiu zbiorowym i na podjudzanie okupanta odpowiedział apelem do tym większego zwarcia, do tym większej solidarności. Kraj poparł inteligencję w jej nieprzejednanym stanowisku wobec okupanta, uznał, że nie może ona zejść z frontu bezpośredniej walki. Powziął nawet tę jasną, tragiczną determinację, że naród nie zginie, choćby jego inteligencja zginęła cała.

Pod inną postacią stanęło to zagadnienie przed inteligencją polską rozproszoną w Rosji. Młodsze, bardziej czynne grupy próbują tam przemyśleć to zagadnienie od innej nieco strony,—wysuwają żądanie takiego przygotowania życiowego inteligencji, któreby ją uzdalniało do walki o byt nie tylko poprzez pracę umysłową. Snują się tu pomysły zmian w przyszłym wychowaniu w Polsce.

I środowisko polskie w Wielkiej Brytanii podejmowało to zagadnienie, nie zawsze może we właściwy, pożądany sposób. Narzuca się zatem konieczność porównawczego zestawienia sposobów reakcji trzech środowisk polskich na tę sprawę. Wsłuchajmy się w głosy Kraju, w argumenty prasy tajnej. Wczujmy się w wysiłek myślowy inteligencji polskiej w Rosji. Te głosy—a są to głosy olbrzymiej, przytłaczającej większości, wobec której jesteśmy tylko drobnym odpryskiem—dadzą nam obfity materiał do rozważenia, w jakim stopniu stanowisko nasze wobec sprawy inteligencji jest słuszne, w jakim zaś wymaga koniecznych sprostowań i zmian.

ADAM ORDEGA

POLSKA WALCZY

DWUTYGODNIK

Rok I Nr 7 8 — 31 paźdz. 1940 r

BĘDZIEMY PAROBKAMI

Niemcy chcą zniszczyć inteligencję polską w przekonaniu, że ona tylko może być istotą i źródłem polskiej myśli narodowej, państwowej, społecznej. Ze ona jedna tylko może tworzyć wielką sztukę, naukę i filozofię, bez których to rzeczy naród nie jest narodem a tylko plemieniem, pozbawionym samowiedzy i spójni duchowej. A naród polski ma być według zachcianki niemieckiego najeźdźcy właśnie tylko plemieniem roboczym, plemieniem parobków, pracującym na niemiecki naród panów i organizatorów życia. Do tej roli w mniemaniu okupantów świetnie nadaje się prosty lud polski. Chłop i robotnik polski mają stanowić ów podatny materiał na doskonałych, potulnych niewolników, koło których wystarczy nieco staranniej pochodzić, aby za pewne świadczenia gospodarcze zaparli się stopniowo mowy i wiary ojców, aby wyrzekli się wszelkiej ambicji tworzenia dziejów narodu i państwa i zamienili w poczciwe a niestrudzone bydło robocze.

Pozbawiona warsztatów pracy duchowej, zubożona, często zmędniała materialnie inteligencja jęła się bez wahania, narzekań i grymasów pracy jakiejkolwiek, bardzo często ciężkiej pracy fizycznej, jeśli nie w polu czy fabryce, to conajmniej w domu gdzie, zastąpiła prawie zupełnie, niedostępną obecnie w tej sferze płatną pomocą domową. Nie tylko symbolicznie, ale dosłownie staje się parobkami i także nie widzi dla siebie żadnej ujmy, żadnego poniżenia. Co więcej, żwawość duchowa i wrażliwość serca pozwala jej znajdować w swoich nowych zajęciach radość, nieznaną ludziom, niezdolnym przenikać do głębszej wartości i cennej zawsze istoty każdej pracy. Bystrość duchową i nadto ambicja woli, nakazująca każdą rzecz, do której się raz wzięło, robić dobrze, sprawiają że inteligencja uprawia swoje nowe zawody tak samo dobrze, a w wielu wypadkach, nie wymagających szczególnej siły mięśni, lepiej niż jej obecni koledzy, całe życie rękoma tylko zatrudnieni. Niedobór siły wyrównywa, a nawet prześciga zręcznością, trafnością w doborze środków wykonania roboty, umiejętnością jej najoszczędniejszego, najwydatniejszego jej zorganizowanin. W obecnej fazie swego istnienia inteligencja polska odkryła fakt, że do dobrego wykonania najprostszej nawet fizycznej roboty potrzebna jest właśnie inteligencja i że do wyżyn duchowej podstawy inteligencji wznieść się musi cały lud pracujący, jeśli chce sprostać czekającym go w każdej dziedzinie zadaniom. Zdolna wydobyć korzyść nawet z nieszczęścia i klęski, inteligencja polska traktuje swoją pozorną, czasową degradację, jako wielką i wartościową szkołę życia.

Dwa ustępy z artykułu tajnego pisma, który dotyczy sprawy systematycznego niszczenia inteligencji

Od Drake'a do Commandos czyli morskie zagony

Popularne, dosadne wyrażenie: uskuteczniać drakę, nie ma bodaj nic wspólnego z legendarnym bohaterem brytyjskim sir Francis Drake, jednym z tych, którym W. Brytania zawdzięcza panowanie na morzu, ale — mogłoby mieć. . . .

On pierwszy zapoczątkował śmiałe wypady na nieprzyjacielskie wybrzeża, które później niepoślednią rolę odegrały w strategii brytyjskiej. Tym czym w polskiej historii wojskowej są zagony na niekończących się stepach wschodu, tym w historii brytyjskiej— zagony na bezkresnych przestrzeniach mórz. Dla kraju wyspiarskiego, położonego niejako na marginesie Europy, zbyt słabego, aby móc przeciwstawić się na lądzie potędze kontynentalnej, morskie zagony, w których słabość armii była wyrównywana tą wielką ruchliwością, jaką daje panowanie na morzu oraz możliwością zaskoczenia przeciwnika były niemalże nakazem strategicznym. Sir Francis przeprowadzał jednak operacje ściśle morskie. Nie używał on wojska, nie przeprowadzał desantów. Słynna jego wyprawa na Kadyks polegała na wtargnięciu do nieprzyjacielskiego portu i zniszczeniu tam szeregu okrętów wojennych.

Dopiero za czasów Pitta próbowano operacji "amfibijnych," lądowo-morskich, z których wywodzą się dzisiejsze "Commandos." W czasie wojny siedmioletniej podjęte były różne próby desantów na wybrzeżu francuskim: w Rochefort, St. Malo, Cherbourg, Belle Isle. Wynik był zresztą słaby, ale nie znaczy to, że pomysł był zły. Nie, po prostu zawiodło wykonanie. Generałowie i admirałowie kłócili się między sobą, a wynikiem było niepowodzenie wypraw.

Za to w czasach napoleońskich flota, znowu sama, bez armii, pokazała, co za efekt mogą mieć zagony morskie. Od 1806 do 1809 lord Cochrane na jednej tylko fregacie utrzymywał w stanie wrzenia całe francuskie wybrzeże śródziemnomorskie oraz okupowaną przez Francuzów Hiszpanię. Śmiała fregata krążyła wzdłuż wybrzeży, atakowała znienacka porty, niszczyła baterie . . . Francuskie posiłki, któreby się tak bardzo przydały w Hiszpanii, musiały krążyć wzdłuż wybrzeży w wiecznej pogoni za nieuchwytnym wrogiem. A lord Cochrane twierdził, że mając 3-4 fregaty, mógłby związać równie wielkie siły nieprzyjaciela, co cała armia Wellingtona!

Gdy w sto lat później cień potęgi niemieckiej padał na Europę, gdy brytyjscy mężowie stanu mieli zdecydować jaka będzie polityka W. Brytanii w wypadku wojny, wielu było takich, którzy sprzeciwiali się wysłaniu na kontynent wielkiej armii. W roku 1909 słynny admirał Fisher twierdził, że armia brytyjska w razie wojny powinna ograniczyć się do desantów, do odzyskania Helgolandu i zabezpieczenia Antwerpii. Według wielu armia brytyjska powinna być niejako narzędziem floty. Nie jej liczebność zadecyduje, lecz jej wielka ruchomość dzięki flocie. Lord Grey ukuł efektowne powiedzenie, gdy mówił o armii, jako o "strzale, który odda flota w najsłabszym miejscu przeciwnika."

Stało się inaczej. Warunki, jakie wytworzyły się na froncie zachodnim, potrzeba wielkich mas dla wojny pozycyjnej, która pochłaniała niesłychane siły, narzucenie W. Brytanii francuskiej doktryny wojennej — wszystko to skłoniło Londyn do tego, by po raz pierwszy w historii rzucić na kontynent wielką armię. Armia ta w roku 1918 odegrała rolę decydującą, ale zapłaciła za to ogromnie wysoką cenę . . .

Dziś sytuacja jest inna. Nie ma frontu na kontynencie. Gdyby nie wojna niemiecko-rosyjska, W. Brytania nie mogłaby się spodziewać, że w bliskiej przyszłości będzie w stanie stoczyć kampanię lądową z największą potęgą kontynentalną na jako tako równych warunkach. Toteż w roku 1940, gdy jeszcze nie było mowy o starciu Niemiec z Rosją, gdy potęga lądowa Niemiec była nienaruszona i otoczona legendą niezwyciężalności, a siły lądowe W. Brytanii bardzo słabe, stanęło przed Churchillem i jego doradcami pytanie: Jak wyrównać dzięki przewadze na morzu i możliwej z czasem do uzyskania przewadze w powietrzu niewątpliwą przewagę niemiecką na lądzie? Jak użyć wojska brytyjskie, aby mogły walczyć z Niemcami, mając równe szanse?

I W. Brytania sięgnęła do swej tradycji morskich zagonów. Do życia powołane zostały "Commandos"—oddziały desantowe, specjalnie przeszkolone, przewożone na okrętach wojennych, lądujące w specjalnych barkach desantowych.

Przez długi czas "Commandos" okrywała tajemnica. Dopiero niedawno stało się wiadome, że na ich czele stał przez kilkanaście miesięcy admirał Keyes, bohater pamiętnej wyprawy na Zeebrugge w poprzedniej wojnie. Jego dymisja i utyskiwanie na biurokrację, która nie pozwoliła na pełne zużytkowanie "Commandos," narobiły nawet sporo hałasu. A tymczasem "Commandos" działały, przygotowywały się.

Już od poprzedniej zimy prasa robiła aluzje do krążących po kraju opowiadań o wypadach na wybrzeże francuskie, o porywaniu jeńców, zaskoczeniu przeciwnika . . . Raz tylko jeden oficjalny komunikat podał wiadomość o lądowaniu na wybrzeżu francuskim, i znów cicho było o "Commandos," aż w marcu głośna stała się wyprawa na Lofoty. Oczekiwano dalszych, Norwegowie mieli zapakowane walizki, licząc, że będą mogli przy sposobności takiego rajdu wydostać się do W. Brytanii.

Jednakże znowu było cicho przez długi czas o "Commandos" i tylko plotka mówiła o ich ciągłych wyczynach. Raz, przed niewielu miesiącami, Niemcy wspomnieli o próbie desantu na wybrzeżu francuskim. W Londynie wyjaśniono, że nie był to desant, ani w ogóle nic ważnego, ot po prostu, patrol lądował na nieprzyjacielskim brzegu— drobny, zwykły wypadek . . . . Dopiero ostatnie, na większą nieco skalę zakrojone wypady na Norwegię przypominały światu o "Commandos" i o roli, jaką mogą one odegrać w wojnie.

Oczywiście nikt nie będzie twierdził, że rajdy "Commandos" mogą wygrać wojnę. Tego rodzaju operacje nie mogą być decydujące; w wojnie nowoczesnej zaś rola desantów morskich na skutek szeregu czynników stała się mniejsza, niż była dawniej. Za czasów lorda Cochrane zawsze i wszędzie możliwe było zaskoczenie. Dziś, gdy czuwa samolot wywiadowczy, możliwości zaskoczenia są mniejsze. Że istnieją, tego dowodzą najlepiej ostatnie rajdy na Norwegię, gdzie zaskoczenie było kompletne. Ale też potrzebne są w tym celu długie noce na północy, mgły zimowe tych mórz, i wchodzić mogą w grę oddalone od lotnisk okolice. We Francji czy Holandii o zaskoczenie byłoby już trudniej.

Ważniejszy jest fakt, że dawniej transport morski górował szybkością nad lądowym, tak iż trudno było szybko przerzucić posiłki na zagrożone miejsce. W 24 godziny okręt robił do 200 mil, podczas gdy wojsko na lądzie poruszało się z szybkością 20 mil na dobę. Dziś w ciągu doby transport morski przebyć może 350-400 mil, wojska zmotoryzowane zaś robią co najmniej 200 mil, jeśli nie znacznie więcej. W razie potrzeby można też przerzucić posiłki drogą powietrzną.

W Norwegii brak jest dróg z południa na północ i komunikacja zawsze odbywała się morzem. Stąd też kraj ten szczególnie nadaje się na rajdy. Nie mniej — jak dotąd — założeniem wszystkich wypadów było przeprowadzenie całej operacji w ciągu paru godzin (z wyjątkiem ostatniej wyprawy na odległe Lofoty, gdzie sprowadzenie posiłków, a nawet użycie na większą skalę lotnictwa było bardzo dla Niemców utrudnione) tak, aby ekspedycja odpłynęła, nim Niemcy zdołają powziąć zarządzenia obronne. W krajach płaskich, o dobrze rozbudowanej sieci komunikacyjnej—w Belgii, Holandii, Francji—operacje tego typu były by niewątpliwie trudniejsze. Za to na dużej części wybrzeża Europy zachodniej możliwa byłaby ochrona lotnicza, która dopiero rajdowi na Vaagsö nadała jego nowoczesny, efektowny charakter.

Pomimo więc zmienionych warunków i nowych utrudnień, możliwości działań "amfibijnych" istnieją. Jeśli zaś nie mogą one same rozstrzygnąć wojny, to jednak mogą na jej przebiegu poważnie zaważyć.

Napoleon powiedział kiedyś: "Z 30,000 ludzi na statkach transportowych przy ujściu Tamizy, Anglicy mogą unieruchomić 300.000 moich żołnierzy, a to zredukowałoby nas do roli drugorzędnego mocarstwa". Napoleon zaś nie miał do pilnowania brzegu ciągnącego się od Cap Nord do Hiszpanii. Odpadał wówczas najdłuższy, najcięższy odcinek—wybrzeże norweskie.

Dziś gotowe do akcji brytyjskie siły desantowe mogą unieruchomić jeszcze większe, niż za czasów Napoleona, siły nieprzyjacielskie. A w czasach, gdy Hitlerowi nie zbywa na żołnierzach, sama tylko konieczność wzmocnienia garnizonów w krajach zachodniej Europy jest już dlań wielkim obciążeniem. Nie ma dość Niemców na świecie, by wypełnić luki w armiach dziesiątkowanych przez Rosjan, mróz i epidemie, by utrzymać w ryzach buntującą się przeciw niemieckiej tyranii Europę i jeszcze obsadzić długie wybrzeże.

Porównywano dość trafnie akcję rajdową do ukąszeń moskitów. Nie mogą one same zabić człowieka, wywołany przez nie upływ krwi jest na to za mały. Ale mogą one poważnie dokuczyć, osłabić, wywołać gorączkę, przygnębić. Tak samo rajdy: trzymają garnizony niemieckie w napięciu, denerwują, osłabiają siły, podważają ducha, zarazem zaś, podnosząc na duchu ludność podbitych krajów, przysparzają Niemcom trudności.

W połączeniu z wydarzeniami na innych frontach, z intensywnymi bombardowaniami itd, rajdy mogą odegrać poważną rolę w doprowadzeniu do załamania się armii niemieckiej. Zwłaszcza, gdy po okresie prób, jakimi są niewątpliwie dotychczasowe wypady na Norwegię nastąpią nowe, większe wyprawy.

Słowa Napoleona nie straciły i w tym wypadku nic na aktualności.

ALEKSANDER BORAY

Szkic sytuacyjny

NARADY WASZYNGTOŃSKIE

Winston Churchill odbył w Waszyngtonie szereg ważnych narad, których treść i osnowa ujawniona zostanie we właściwym czasie. Na razie wiemy o dwóch rzeczach, które są owocem narad Roosevelt-Churchill: mianowaniu generała Wavella na naczelnego wodza sił zbrojnych sprzymierzonych na Oceanie Spokojnym oraz powołaniu do życia specjalnej komisji, której zadaniem będzie czuwanie nad produkcją państw sojuszniczych i rozdziałem jej na odpowiednie tereny wojny.

Waszyngton zmienia się w wielki ośrodek polityczny i strategiczny. Akcja w stosunku do Dalekiego Wschodu będzie kierowana w dużej mierze właśnie z Waszyngtonu, już chociaż by ze względu na odległości. Niektóre człony Imperium, jak n.p. Australia podejmują co raz żywszą łączność ze Stanami Zjd., widząc w Ameryce koniecznego gwaranta bezpieczeństwa na Oceanie Spokojnym.

POŻAR NA DALEKIM WSCHODZIE ROŚNIE

Japończycy nie próżnują na Dalekim Wschodzie. Ich postępy na Filipinach i na Malajach są wyraźnie powolniejsze, co jest wynikiem dwóch faktów: trzeba przemierzać olbrzymie przestrzenie, częściowo puste, po drugie wojska angielskie i amerykańskie stawiają co raz bardziej stanowczy opór. Japończycy *nie czekali* jednak na ukończenie operacyj na Malajach i Filipinach: *ruszyli do skoku na Indie Holenderskie* i zdobywają wyspy, osłaniające Indie Holenderskie. Jest to manewr groźny dla bezpieczeństwa Indyj Holenderskich, które *są jednym z najbogatszych na świecię rezerwoarów ropy.*

Japończycy mają już w swoich rękach ropę w Sarawaku —nie wiemy, jaki procent szybów naftowych został tam przez Anglików zniszczony. Indie Holenderskie to gratka nielada, o wiele cenniejsza, aniżeli Sarawak.

Oczywiście, *stawka jest ogromna* i sojusznicy winni bronić Indyj równie energicznie, jak Singaporu. Są to pozycje najbardziej doniosłe, które dają, w razie upadku, wielkie atuty w ręce Japończyków.

WYŚCIG PRZED MONSUNEM

Japończycy operują głównie lotnictwem; flota wojenna posiłkuje tylko ich działania. *Używają także wojsk spadochronowych,* które oddają wielkie usługi na tych bezludnych przestrzeniach, z konieczności słabo strzeżonych. *Lotnictwo jest też kluczem do zrozumienia sytuacji na Dalekim Wschodzie:* prasa angielska zamieszcza wezwania, ażeby wzmocnić pogotowie lotnicze na tym obszarze i zamieszcza dramatyczne opisy bombardowania miast, niewyposażonych w obronę z ziemi, ani w obronę myśliwców.

Rząd brytyjski podejmuje energiczne kroki celem opanowania sytuacji. Wydaje się, że odwołanie Duff Coopera, przedstawiciela brytyjskiego gabinetu wojennego na Dalekim Wschodzie, dokonało się *na życzenie Australii.* Sądzić wolno, że Duff Cooper nie był tutaj winny, albowiem zjawił się na niedługo przed japońskim atakiem —wina spada na dowódców wojskowych, którzy budzili nastroje nadmiernego optymizmu i ufności.

W dowództwie brytyjskim na Dalekim Wschodzie dojdzie napewno do zmian. Tego rodzaju "*czystki*" są wskazane i zdrowe, albowiem maszyna wojskowa więcej, aniżeli jakakolwiek inna wymaga najpilniejszej kontroli, czyszczenia i oliwienia.

Anglicy chcą przetrzymać na Malajach do maja—kiedy to zaczyna się pora monsunów. Ulewy i mgły, jakie przynosi monsun sprawiają, że latanie przy takiej pogodzie jest niemal niemożliwością. Przed nadejściem monsunowej pory Japończycy chcą pochwycić w swoje ręce największą ilość lotnisk w najrozmaitszych punktach.

Tylko w ten bowiem sposób mogą utrzymać zarówno *panowanie w powietrzu,* które zyskali we wstępnej fazie ataku, jak i zabezpieczyć swoje transporty i konwoje przed atakami samolotów sojuszniczych. To są dwa kapitalne zadania japońskie w najbliższych miesiącach i dlatego Japończycy dwoją się i troją.

ODWRÓT W ROSJI

Armie niemieckie cofają się dalej w Rosji, a komunikaty sowieckie są co raz bardziej pełne optymizmu. Najwyraźniej armie sowieckie dążą do odbicia *Smoleńska,* rozumiejąc jak olbrzymie znaczenie moralne miałoby takie zwycięstwo. Dla armii niemieckiej byłby to namacalny dowód zupełnego odwrotu, dla armii sowieckiej hasło do dalszego pochodu, wspaniały owoc kontr-uderzenia.

Straty niemieckie w Rosji rosną, wydaje się, że więcej ich dzisiaj od mrozu, tyfusu, chorób, aniżeli od ognia. Przypuszczać wolno, że w licznych punktach Niemcy wycofują się przed nawiązaniem łączności z nieprzyjacielem.

Gdzie podziały się liczne dywizje niemieckie?. Czy udały się na wygodniejsze leża zimowe, czy też przerzucone zostały do cieplejszych krajów /Francja, Włochy/? Nie wiemy—wiemy tylko, że lotnictwo niemieckie już jest w wielkiej mierze gdzie indziej; pisma angielskie domyślają się nawet gdzie.

UDERZENIE Z SYCYLII?

Doniesienia, jakie nadchodzą do Londynu dają do zrozumienia, że poważne koncentracje *Luftwaffe* istnieją dzisiaj na Sycylii i na południu Włoch. Pewne źródła powiadają, że atak lotniczy na Maltę jest rzeczą nader bliskiej przyszłości i że co raz częstsze naloty na ten bastion są zapowiedzią poważnej ofensywy powietrznej.

Być może, że Hitler przygotowuje uderzenie w basenie Morza Śródziemnego. Ponieważ nie może polegać na flocie pozostają mu trzy możliwości: *uderzenie lądowe* /przez Francję, Hiszpanię na Marokko hiszpańskie celem osaczenia Marokka francuskiego i Tunisu i nawiązania kontaktu z Rommlem/ oraz *uderzenie lotnicze* /Malta/; trzecia możliwość nie jest samodzielna: *lądowania wojsk spadochronowych. Hitler musi skakać przez morze tam, gdzie jest ono najwęższe:* a zatem w okolicy Gibraltaru albo przez Dardanele.

Skok przez Dardanele nie jest bodaj na czasie, albowiem Krym jest dzisiaj zagrożony—ale przez Rosjan; a śpieszenie z odsieczą armii niemieckiej w południowej Rosji drogą przez Turcję nie wydaje się dzisiaj możliwe. Plan ten —jak to wspominaliśmy w poprzednim rozbiorze—istniał, ale został zniweczony przez przeciwuderzenie sowieckie.

Hiszpania wydaje się aktualniejsza, niżeli Dardanele a alarmy hiszpańskie są znowu żywe. Wątpić należy, ażeby Hitler czekał aż do lata z wytrząśnieciem swojej niespodzianki. *Raczej trzeba liczyć na jego niecierpliwość.*

Londyn, 12 stycznia 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1.I.—10.I.1942.

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe
Z powodu złych warunków atmosferycznych nie brało udziału w działaniach bojowych	Łączna ilość samolotów biorących udział w wyprawach: 115
	Główne cele: Brest /czterokrotnie/, Cherbourg, Wilhelmshafen
Razem od czasu przybycia do Anglii do 10.I.1942.	
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 420	Łączna ilość samolotów: 1610

Po podróży gen. Sikorskiego do Rosji



Gen. Sikorski wśród żołnierzy jednej z dywizyj



Oddział piechoty w defiladzie



Gen. Sikorski wśród oddziału pomocniczej służby kobiet



Oddział kawalerii w defiladzie

Pilnie, z napięciem śledziliśmy wszyscy drogę Naczelnego Wodza do Rosji. Mieliśmy świadomość, że nie była to turystyczna przejażdżka ani jeden z tych luksusowych, dyplomatycznych spacerów, odbywanych wszerz i wzdłuż wczorajszej Europy, która nie miała wspólnego języka, ale zato aż w nadmiarze podtrzymywała pozory, puste formy "towarzyskiej" solidarności. Wiedzieliśmy, że trasa tej podróży prowadziła przez trzy lądy—bo Persja jest już przecież w Azji—przez morze, przez powietrze, zmienione w fronty bezwzględnej, nieustającej walki. Ciemność leżała na tej drodze, z jej etapów dochodziły tylko rzadkie, słabe echa.

Dziś, kiedy ta podróż jest szczęśliwie zakończona warto określić jej sens, podliczyć jej wyniki. Warto ją ocenić—nie z politycznego, nie z personalnego, ale z naszego, żołnierskiego punktu widzenia. Bo musimy sobie ciągle uświadamiać, że istnieje taki punkt widzenia, i że dla nas, żołnierzy, jest on jedynie ważny. Ten punkt widzenia odwołuje się do serca, rozumu i wyobraźni i jeszcze: do instynktu, poczucia, woli, nakazu i konieczności tej wspólnoty, jaką stanowimy, stanowić musimy, my żołnierze.

Kto by nie miał serca, rozumu i wyobraźni, komu by nie stało poczucia zbiorowości zjednoczonej ku jednemu—trudno by mu było mówić, co znaczy ta podróż. Nie zrozumiałby, nie zobaczyłby w duchu, nie odczuł, że była to p o d r ó ż d o P o l s k i, do największego, po Kraju, skupienia Polaków, którzy cierpieli za swoje imię i są gotowi za nie walczyć znowu, że było to wcielenie na nowo do polskiej wspólnoty społecznej i państwowej dwu milionów najlepszych pośród nas, najboleśniej doświadczonych, najwspanialej nieugiętych.

Gdyby to przedsięwzięcie niczego innego nie dokonało, już sam ten fakt satysfakcji moralnej, wymierzonej bieżeńcom polskim jest zdarzeniem, które musi docenić każdy, kto ma polskie serce i jako tako ludzką wyobraźnię.

A przecież ta podróż odbyta za tych wśród nas, którzy u końca tej drogi przez ciemność mają swoich bliskich i swoich drogich, odbyta za nas wszystkich—ma jeszcze inne, rzeczywiste następstwa. Pióro wzdryga się pisać: "rzeczywiste," jakby wzruszenie setek tysięcy ludzi, uniesienie, że nie są sami na bezlitosnej ziemi nie było rzeczywiste rzeczywistością najbardziej przejmująco polską i ludzką.

Mówmy o tych rzeczywistych, dotykalnych rezultatach, nie z uwagi na tutejszych "realistów," ale ze względu na Polaków w Rosji. Dla nich liczy się każdy promień ciepła, każdy skrawek odzieży, każdy kawałek chleba, bo on ich zwraca życiu i polskości, ratuje od zagłady i umacnia w nadziei przetrwania.

Prawie natychmiast po wyjeździe Generała z Rosji doszła nas wieść o zaciągnięciu przez rząd polski pożyczki stu milionów rubli. Ta suma pozwoli gromadzie wysiedleńców bez domu i chleba zapewnić jakieś ludzkie istnienie na kilka miesięcy.

Ale to doraźne, natychmiastowe załatwienie olbrzymiej, palącej potrzeby ciepła i jadła nie powinno zagrodzić, wysuszyć strumienia naszej ofiarności na pomoc dla Polaków w Rosji. Powinniśmy pomyśleć o stałym zrzeczeniu się jakiejś części naszego żołdu na rzecz głodnych, na rzecz tych obdartych dzieci, które Generał widział w Kujbyszewie. Nieprzerwana już lista składek w "Polsce Walczącej" nie może się zamknąć ani na chwilę. Projekt lepszego zorganizowania akcji zbiórkowej, wysunięty na tych łamach przez czującego i rozumnego współpracownika, p. Mamrota, wart jest urzeczywistnienia bez zwłoki i w jak najszerszym zakresie.

Tamta pomoc jednorazowa i nasza pomoc, pomoc wszystkich Polaków, gdziekolwiek są—stała i nieprzerwana — jest niezbędnie potrzebna, bo po rozmowie Generała Sikorskiego ze Stalinem wszyscy obywatele polscy zostali ostatecznie zwolnieni, a wiosna wypuści z lodowego więzienia strefy arktycznej tych, którzy może jeszcze nie wiedzą o łasce wolności lub nie mogą z niej skorzystać.

Jest to także jeden z dodatnich rezultatów podróży, że wszyscy Polacy zostaną skupieni na jednym obszarze Kazakstanu, Turkiestanu i Republiki Kirgizkiej. Będą już masą bardziej zwartą, łatwiej obliczalną, łatwiej dostępną, z którą będzie się można porozumiewać, której będzie można pomagać.

I chociaż trzeba ich ciągle widzieć w przestrzeniach wielkich ponad rozprzężliwość naszej wyobraźni, można myśleć, że będą blisko naszego wojska. Bo i ono, na okres formowania, ekwipowania i szkolenia będzie zebrane w tym samym rejonie. W wyniku rozmów Naczelnego Wodza wcieleni zostaną do jego szeregów wszyscy obowiązani do służby wojskowej i osiągnie ono liczbę sześciu do siedmiu dywizji, czyli do 100.000 ludzi, uzbrojonych i ekwipowanych w materiał brytyjski i amerykański.

Prócz tego 25.000 żołnierzy i dwa tysiące lotników i marynarzy wejdzie pomiędzy nas, zasili kadry w Wielkiej Brytanii i na Bliskim Wschodzie. W ten sposób jeszcze silniej, jeszcze głębiej, widomie i dotykalnie urzeczywistni się zasadnicza prawda, najbardziej wzniosła i przejmująca tego zdarzenia: że ludzie stamtąd, z dna niedoli i cierpienia zmieszają się z nami, poczują się "na Ojczyzny łonie," w uścisku braterskiej, żołnierskiej, polskiej jedności.

Rzeczywistość każdej wojny, tej wojny szczególnie—jest płynna, jest istnieniem na ruchomych piaskach, poruszonych od samego dna. Pamiętamy, ile razy traciliśmy już równowagę. Pamiętamy, ile już widnokręgów złamało się w naszych oczach i przepadło.

Wierzymy dziś tylko w dwie rzeczy: w pomnażanie wspólnoty i pomnażanie siły. Tylko zjednoczona siła wyjdzie zwycięsko z tej próby, tylko ona zobaczy jutro i zacznie budować nową, lepszą, bardziej stałą równowagę świata. Rosyjska podróż genera'a Sikorskiego liczy się do tych przedsięwzięć, które pomnożyły wspólnotę i pomnożyły siłę—naszą własną, polską i całego obozu narodów, z którymi sprzysięgliśmy się na śmierć i życie.

Część narodu polskiego otrzymała pełne prawo do życia i walki. To są fakty, które stają przeciw słowom, przeciw schematom, przeciw podżeganiom, przeciw takim czy innym urojeniom strachu i krótkowidztwa. Dwa miliony Polaków, sto tysięcy najofiarniejszych żołnierzy, gotowych na wszystko—jest razem z nami, jest na froncie wspólnej walki. O dwa miliony ludzi, o sto tysięcy żołnierzy powiększyła się gwarancja naszego zwycięstwa i gwarancja naszej przyszłości.

ALEKSANDER JANOWSKI

"Nastrój ludności cywilnej— jest imponujący. Najwyższy patriotyzm, wierność Polsce i państwu polskiemu, są nakazem obowiązującym bezwzględnie wszystkich. Dotyczy to przytym nie tylko rdzennych Polaków, ale wszystkich mieszkańców naszych kresów wschodnich. Solidarność jest ogromna. Nie ma różnic klasowych; robotnik, chłop, inteligent, arystokrata—wszyscy sobie pomagają, dzieląc się ostatnim kęsem chleba i ostatnim groszem."

* * *

"Wspaniała jest postawa naszych żołnierzy. Panuje wśród nich solidarność największa. Stosunek między oficerem i żołnierzem jest idealny. Wojsko nasze w Rosji stanowi jedną zwartą rodzinę, gdzie oficerowie służą przykładem młodszym."

/Z wywiadu udzielonego przez gen. Sikorskiego prasie angielskiej po powrocie z Rosji/

SPOWIEDŹ OJCZYŹNIE

Polsko, Ojczyzno moja! Przez sybirskie stepy
widzę Cię dziś dokładniej i jaśniej i lepiej,
bo w czasach, gdy powietrzem twoim oddychałam—
choć kochałam cię zawsze—jednak cię nie znałam.

Byłaś mojego życia prostą codziennością,
smakiem twojego chleba i słońca jasnością;
darzyłaś mnie dostatkiem, pewnością, spokojem—
wszystko, co było polskie, było bliskie, moje.

Moimi były wszystkie twoje ludzkie prawa,
których podstawą było: nie odbierać—dawać!
Twój orzeł, twych nieznanych obrońców mogiły,
twoja ziemia i morze, twych tradycji siły—
to było kiedyś mego bogactwa ogromem
w czasach, gdy jeszcze kwitłaś i byłaś mi domem.

Widzę dzisiaj, że tylko czerpać z twej szczodrości
mało było—i mało mówić o miłości;
ty żądałaś ode mnie nie cnót, nie wawrzynów,
nie słów, tylko zwykłego, codziennego czynu,
trzeba było pracować rękami i głową.

Cóż ci dałam, Ojczyzno?—Serce—puste słowo!
Teraz przyszła Twojego letargu godzina . . .
to jest i moja wina, moja wielka wina!
Dziś, kiedy już zapóźno, choć z duszy najszczerszej,
cóż ci dać mogę, Polsko?—Nic, tylko te wiersze,
bo w Kazachstanie gra mi "jak harfa eolska"
słodkie słowo "Ojczyzna," święte słowo "Polska" . . .

O kiedy da mi Pan Bóg, że te wielkie słowa
staną mi się znów jawą i jasnością nową?
Kiedy w stęsknionych oczach rozbłysną rozkwitem
te "pola, malowane zbożem rozmaitem,
gdzie bursztynowy świerzop, gryka, jak śnieg, biała,
gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
a wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
zieloną; na niej z rzadka ciche grusze siedzą . . ."

Tak widział je Mickiewicz i jego oczami
ja je widzę, gdy moje napełnią się łzami.

HALINA TERLECKA

/"Orzeł Polski," nr. 2/



Pismo żołnierzy polskich w Rosji "tłoczone w Drukarni Polowej Polsk. Sił Zbrojn. w Z.S.R.R." Jest to już drugie—po kanadyjskiej "Odsieczy"—pismo żołnierskie, które w podtytule powtarza nazwę naszego tygodnika, drugi wzruszający akcent solidarności z nami

Przesyłamy "Orłowi Białemu" najlepsze życzenia wysokiego, szczęśliwego, szybkiego lotu do wyzwolonej Polski i serdeczne pozdrowienia braterskie

Wkład Polski do zwycięstwa

Dwieście pięćdziesiąt lat temu, w roku 1683 Europa chrześcijańska w uczuciu wdzięczności przypadała do kolan narodowi polskiemu i jednemu z jego królów. Ostatni z krzyżowców, geniusz wojskowy Jan Sobieski uratował świat chrześcijański, rozbijając armie tureckie, które oblęgały Wiedeń. Poczucie jedności chrześcijańskiej i rycerskości skłoniło go i cały jego naród, aby stanąć wpoprzek pochodowi barbarzyńców. Od tego dnia fale zalewu tureckiego zaczęły powoli odpływać z powrotem do Azji. Polska wytrzymała napór i zbawiła Europę. Oto karta jéj historii, przez którą przemawia jej przeznaczenie.

Leży Polska na skrzyżowaniu szlaków, którymi szli napastnicy czy z Północy, czy ze Wschodu, czy też z Zachodu. W roku 1939, podobnie jak 250 lat temu, fala barbarzyństwa zaczynała grozić Europie zalewem. Polska wiedziała, że musi wyjść naprzeciw tej fali i stawić opór, że musi ratować siebie i jednocześnie Europę, choćby nawet miała czasowo w tej walce ulec. Dlatego przyjęła w marcu 1939 proponowaną przez Chamberlain'a jednostronną gwarancję angielską.

Nie ulegało dla nikogo najmniejszej wątpliwości, iż Polska nie sprowokowała agresji niemieckiej. Mimo, że Polacy zdawali sobie sprawę ze swojej słabości, nie zmobilizowali nawet całej rozporządzalnej siły w chwili ataku niemieckiego. Doświadczenia w Europie i na Oceanie Spokojnym już nas nauczyły, jak olbrzymie korzyści daje napastnikowi czynnik zaskoczenia, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę rewolucyjne tempo nowoczesnego "Blitzkriegu". Polacy zdobyli się jeszcze i na to ofiarne poświęcenie dla wspólnej sprawy, nie przeprowadzili mobilizacji, aby zadośćuczynić wyraźnemu życzeniu ambasadora Francji i Anglii.

Cała kampania polska pełna jest przykładów bohaterstwa i poświęcenia, z jakim Polacy przeciwstawiali się miażdżącej sile wroga. Lecz przewaga liczebna i lepsze wyposażenie pokonały ducha absolutnego samopoświęcenia, który zjednoczył cały naród. Nie zdołały go jednak zniszczyć. W czasie tej kampanii Polacy zabili 91.000 Niemców, a liczba rannych Niemców doszła do 150.000. Mając o wiele mniejsze lotnictwo i nieliczną artylerię przeciwlotniczą zestrzelili od 700 do 800 samolotów niemieckich, prawie tyle samo uszkodzili w czasie akcji. Jednocześnie zniszczyli lub uszkodzili poważnie mniej więcej jedną trzecią całego niemieckiego zasobu w czołgach i samochodach pancernych.

Właśnie te straty w czołgach i samochodach pancernych były powodem 8-miesięcznej zwłoki, która była Hitlerowi potrzebna dla wyrównania ubytku sprzętu i przygotowania ataku na zachodzie Europy. W ten sposób państwa zachodnie, walczące przeciwko "osi" zdobyły tak cenny dla siebie czas. Inna rzecz, iż nie potrafiliśmy z tego skorzystać.

Że Francja, dawna, wielka sojuszniczka Polski roztrwoniła ten drogocenny czas, zdobyty przez poświęcenie Polski, za to oczywiście Polski nie można winić. W tym czasie można było przedłużyć linię Maginota aż do morza, w tym właśnie czasie można było, gdyby tylko Trzecia Republika była chciała, tchnąć ducha w cały naród. Ale duch walki już dawno ten naród opuścił. Gdyby choć w małej mierze Francja była wykorzystała ten czas, jej upadek i hańba nie byłyby tak całkowite.

Była to także okazja dla mniejszych państw neutralnych, aby przedsięwziąć odpowiednie kroki dla uratowania siebie. Ale państwa te były urzeczone wzruszającą wiarą w zbawienie przez legalną neutralność. A przecież myśl, że jakakolwiek rozsądna istota może wiązać pojęcie poszanowania prawa międzynarodowego z pruskimi Niemcami pod wodzą Bismarcka czy Hitlera —powinna wywołać łzy żalu, lub głośny śmiech.

My także grzeszyliśmy przypuszczając, że "czas pracuje na naszą rzecz," zamiast przez przyśpieszenie tempa zapewnić sobie tę korzyść i raczej "wziąć czas za łeb." Tym nie mniej jednak poświęcenie Polski dało tę okazję i w pewnej mierze, choć nieproporcjonalnie małej, zdołaliśmy ją wykorzystać. Gdyby Polska, jak Czechosłowacja była się poddała bez walki, Hitler mógłby swoje armie przerzucić natychmiast na zachód i Francja była by upadła prawdopodobnie już w końcu października 1939 roku. Męski opór Polaków dał Wielkiej Brytanii co najmniej osiem miesięcy, w czasie których mogła zorganizować fabryki amunicji, rozwinąć lotnictwo i puścić w ruch całą machinę wojenną.

Straty polskie w czasie tej kampanii oblicza się na 100.000 zabitych wśród żołnierzy i przeszło 100.000 zabitych wśród ludności cywilnej w czasie akcji wojennej, z czego w samej Warszawie padło 40.000. Śmierć trzech dowódców na polu walki, utrata w czasie starć kilku pułków kawalerii prawie wszystkich oficerów, którzy walczyli bohatersko, aby zatrzymać stalowy napór tanków zmechanizowanych, poświęcając siebie i konie—oto bilans bohaterstwa polskiego.

Nawet po pokonaniu Polski nie powstała wśród Polaków myśl o poddaniu się. Wiedzieli oni, że są pierwszymi broniącymi się ofiarami w walce wolności świata przeciwko tyranii. Polska Marynarka Wojenna i Handlowa, nieraz po wspaniałych przygodach, jak epopea "Wilka" i "Orła," po walkach, które trwały aż do połowy października dołączyły do Marynarki Brytyjskiej. Pokazały one, że choć są liczbowo mniejsze, duchem, wydajnością energii i doświadczeniem na morzu dorównują naszemu poziomowi.

Armia Polska we Francji została natychmiast zreorganizowana pod doświadczonym i niezawodnym przewodnictwem gen. Sikorskiego. W chwili rozpoczęcia ataku na Zachodzie Hitler napotkał nowych 100.000 Polaków, tyle samo ile zabił w Polsce. Przeważna ich część byli to weterani kampanii wrześniowej, którzy przybyli przez Rumunię albo innymi okrężnymi drogami na Zachód, aby raz jeszcze złożyć na polu walki swoje życie w ofierze za wolność i wspólną sprawę.

We Francji walczyły mężnie dwie polskie dywizje i jedna brygada zmotoryzowana i zyskały najwyższe pochwały ze strony Francuzów, a nawet ze strony swoich nieubłaganych niemieckich wrogów. Francuzi powierzyli obronę całego szeregu swych lotnisk jednostkom polskim; Polacy utworzyli kompanie przeciwczołgowe dla nie mniej, niż 9 dywizji francuskich.

Wskutek załamania się armii francuskiej, wyładowanie w porcie Brest Polskiej Brygady Podhalańskiej, która tak dzielnie walczyła pod Narwikiem,nastąpiło za późno i nie mogła ona już wziąć udziału w walkach we Francji. Polska Brygada, znajdująca się w Syrii pokonała opór Vichy i dołączyła do brytyjskich jednostek w Palestynie, przynosząc ze sobą sporo sprzętu. Żołnierze tej brygady wchodzili w ostatnim czasie w skład bohaterskiej załogi Tobruku i przyczynili się czynnie do klęski generała Rommla w Cyrenajce, jak to podkreślił głównodowodzący sił brytyjskich.

Gdyby nie szybka decyzja gen. Sikorskiego i premiera Churchilla, gdyby nie chętna i wszechstronna pomoc Marynarki Brytyjskiej, katastrofa Francji mogła była łatwo pochłonąć zupełnie wojsko polskie. Ale polski upór życia i prowadzenia walki kazał mu znów przebijać się, tym razem do Anglii. Nie zawsze w wielkich oddziałach, które Marynarka Brytyjska mogła zabierać, ale kroplami, które przesiąkały przez Szwajcarię, Hiszpanię i Portugalię. Z każdego najodleglejszego zakątka ziemi, gdzie tylko biło patriotyczne serce polskie, wszelkimi drogami, z północnej i południowej Ameryki spływali ochotnicy. Wielu jeńców polskich z Rosji Sowieckiej przybyło na te wybrzeża. Ich pomoc jest szczególnie cenna, bo są to wszystko doświadczeni żołnierze, przeważnie specjaliści, lotnicy, mechanicy i marynarze.

W ten sposób w Wielkiej Brytanii zebrało się znowu wojsko polskie, świetne oddziały zaprawionych ludzi walki, natchnionych wspaniałym duchem, wyćwiczonych i wyposażonych, którzy się rwą, aby im pozwolono wymierzyć sprawiedliwość niemieckim gwałcicielom ich domów i rodzin.

Satysfakcji tej doczekało się już wspaniałe lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii, składające się z szeregu eskadr bombowych i myśliwskich. Odegrało ono bardzo znaczną rolę w "Battle of Britain", w naszej powietrznej bitwie pod Trafalgarem, gdyż zestrzeliło nie mniej niż 14% wszystkich niemieckich samolotów, jakie strącono nad W. Brytanią w czasie tej bitwy. Jest to czyn tym bardziej niezwykły, że ilość lotnictwa polskiego zaangażowanego w tej walce wynosiła o wiele mniej, aniżeli 14% ogólnej liczby samolotów, walczących po stronie angielskiej. Można zaś powiedzieć, że w takiej bitwie, bezwzględnej i nieprzejednanej, w której wysyłano z rezerw każdą maszynę, zdolną wznieść się w powietrze—właśnie udział tych kilku polskich eskadr przeważył szalę dnia i zapewnił W. Brytanii i cywilizacji wolność. Dzień w dzień myśliwce polskie, w lotach nad północną Francją strącają Messerschmidty Hunów, noc w noc bombowce polskie biorą pełny udział w ciężkich nalotach nocnych na Niemcy.

Młoda Marynarka Polska spełnia swoje zadanie na morzu z odwagą i skutecznie i żyje w przyjaznych stosunkach z brytyjskimi sprzymierzeńcami. Gdy piszący te słowa w ostatnim roku wracał przez Ocean Atlantycki do domu, tak się złożyło, że przeprowadzała go właśnie bohaterska, biało-czerwona bandera powiewająca na polskim krążowniku.

Orły polskie gotują się do walki nie tylko w W. Brytanii, lecz także w Rosji i w obu Amerykach. Gdy Sowiety, jak to dzisiaj wiemy, w przewidywaniu ataku na siebie okupowały Polskę —wielu polskich oficerów i szeregowych dostało się w ręce Rosjan. To szczególne skupisko wyćwiczonych żołnierzy stawiło się także do walki z chwilą, gdy Generał Sikorski w lipcu 1941 zawarł rozumny pakt z Sowietami. Powstaje z nich teraz nowa armia polska, licząca około 6 dywizji, wyposażona w broń dostarczaną głównie przez W. Brytanię.

Nie należy także nie doceniać wagi Amerykanów pochodzenia polskiego, których jest nie mniej, niż 5 milionów. Są oni wszyscy lojalnymi obywatelami Stanów Zjednoczonych, ale poczucie polskości jest w nich głęboko zakorzenione.

Wszyscy bez wyjątku są wrogami Niemiec podobnie, jak w roku 1914. Przez cały czas podtrzymywali niezachwianie prez. Roosevelta, który w niektórych stanach otrzymał większość głosów dzięki Polakom. Nie jest to tylko przypadek o wymowie symbolu, że pierwszy żołnierz amerykański, który padł ofiarą zdradzieckiego ataku Japończyków na Hawaje—nazywał się Norbert Niedźwiedzki i był Polakiem. Znowu Polak jest pierwszym, który pada w walce o wspólną sprawę wolności świata.

Przede wszystkim jednak duch bohaterskiego samopoświęcenia objawia się bez przerwy w Polsce w nieustannym podtrzymywaniu oporu przeciwko Niemcom. Wagę tego faktu dla wspólnej sprawy Sprzymierzonych najlepiej zrozumiemy, jeżeli uprzytomnimy sobie, że Niemcy, dla trzymania w karbach wygłodzonej i umęczonej ludności muszą stale w Polsce więzić nie mniej, niż 12 dywizji wojska.

Oddziały partyzanckie kontynuowały walkę z najeźdźcą przez cały rok 1940 i walczą jeszcze teraz, chociaż już w znacznie mniejszych rozmiarach. Przeprowadza się także z powodzeniem akcje sabotażowe. Niedawno n.p. wykolejono pociąg pośpieszny Poznań-Warszawa przepełniony Niemcami.

Niemieckie sądy wojskowe skazały na śmierć 82.000 Polaków z pośród ludności cywilnej. Dziesiątki tysięcy, razem biorąc pewnie przeszło 200.000 ludzi wymordowano, zmasakrowano w masowych egzekucjach, zamęczono na śmierć bez żadnego powodu w obozach koncentracyjnych.

Jak widać z tego dzisiejszy "nowy porządek" niemiecki pokrywa się całkowicie z polityką Bismarcka wobec Polaków, którą wyrażał słowem "*ausrotten*" t.zn.—wytępić.

Do liczby ofiar, za które Niemcy kiedyś powinny zapłacić, należy zaliczyć jeszcze około miliona ludzi, którzy zginęli na skutek głodu, tyfusu i innych epidemii, wywołanych okupacją niemiecką, na skutek zimna i mrozu. 1.200.000 Polaków zostało ponadto wywleczonych ze swych domów, zamienionych w niewolników dla ciężkich robót w Niemczech. Wiarogodne źródła donoszą, że w Niemczech sprzedaje się robotników polskich, na prawdziwych targach niewolniczych chłopom niemieckim po 10 sh. od głowy.

Polacy przypłacili swój opór nie tylko utratą życia i wolności, ale utratą wszystkich swych zabytków kultury narodowej, dzieł sztuki, kościołów i pomników, a w zachodniej Polsce utratą *całego* prywatnego mienia, które Niemcy po prostu zagrabili. Ale bici, torturowani i głodzeni, ciągle opierają się bestialskiemu wrogowi wszystkimi siłami, a nawet wydają pod nosem najeźdźcy przeszło sto tajnych pism. Pisma te odgrywają dużą rolę, podtrzymując ich na duchu i podżegając chęć oporu. A że często zawierają rysunki humorystyczne i satyryczne utwory, więc można powiedzieć, że mimo potwornej Golgoty, jaką stanowi istnienie pod okupacją, jest to najbardziej heroiczne wcielenie sławnego Churchillowskiego hasła: zawzięcie, ale z humorem.

Lecz całe wspaniałe samopoświęcenie łatwo mogło by się rozproszyć, gdyby nie mądre i zręczne kierownictwo prawdziwego przywódcy narodu dużej miary. "Jeśli przywódcy nie mają wizji, narody giną." Gdyby nie niezwykły dar wyobraźni i odwagi Churchilla (dwie rzeczy, które najistotniej określają osobowość przywódcy), cały olbrzymi wysiłek wojenny W. Brytanii mógłby z łatwością pójść na marne albo być źle zużytkowany. Na szczęście Polska w tym okresie ciężkiej próby i wytężonej pracy ma także takiego przywódcę w osobie gen. Sikorskiego.

Już przed obecnym kataklizmem dowiódł on, że jest nieprzeciętną osobistością i to zarówno jako żołnierz, jak i mąż stanu. W kampanii roku 1920-ego, w czasie zamieszania, które powstało w związku z cofaniem się wojsk po niewczesnym pochodzie Piłsudskiego na Kijów, Sikorski wyprowadził swoje oddziały w najlepszym porządku i po objęciu dowództwa nad Piątą Armią odegrał znaczną rolę w końcowej rozgrywce bitwy o Warszawę. Będąc w roku 1923 premierem Polski zaproponował sojusz militarny Czechom, nie bacząc na zajęcie przez nich Cieszyna w roku 1919, którego dokonali wbrew postanowieniom Rady Ambasadorów.

Choć wiedział, że jest jedynym współzawodnikiem Piłsudskiego do przywództwa w Polsce wolał się dobrowolnie usunąć w imię dobra jedności narodowej tak ważnej dla młodej rzeczypospolitej. Czas nieczynności politycznej poświęcił na pisanie książek i artykułów na temat strategii wojskowej w przyszłej wojnie. W sposób zadziwiający przewidział wówczas nie tyle totalny jej charakter, ile rozstrzygającą rolę, jaką miało odegrać lotnictwo w połączeniu z formacjami pancernymi. W ten sposób wyprzedził on gen. de Gaulle, jako prorok nowoczesnej taktyki wojennej, opierającej się na czołgach.

W chwili, gdy Francja nas opuściła i gdy zdawało się, że cała siła Niemiec nazistowskich zwali się na Wielką Brytanię niedozbrojoną i samotną, wyciągnął rękę do Churchilla i długim i mocnym uściskiem zapewnił nas w tej ciężkiej godzinie, że Polska będzie walczyła po naszej stronie. Dlatego można powiedzieć, że jego osobistą zasługą są wszystkie dzielne dokonania sił polskich poza Polską i zmobilizowanie Polaków na całym świecie dla naszej sprawy. W tym celu przedsięwziął podróż do Stanów Zjednoczonych w marcu 1941 roku i przemawiał do siedemdziesięcio- i stutysięcznych tłumów Polaków n.p. w Chicago, nawołując ich do ciągłej ofiarności. Łączy on dobrą prezencję z darem urodzonego mówcy. Styl jego nie jest kwiecisty, ale trafny, jak prawdziwego żołnierza i podobnie jak Churchill potrafi on poruszyć słuchaczy głosem idącym z serca.

Ostatnim i największym dowodem jego przewidującego i rozległego widzenia spraw było podpisanie umowy polsko-rosyjskiej 30 lipca 1941. W chwili tej można było z całą słusznością przytoczyć tak bezpośrednią teraźniejszość jak i ostatnie 170 lat historii jako kontrargumenty przeciwko takiemu paktowi. Niemcy byli wówczas w pełnym pochodzie w głąb Rosji i zdawało się, że szanse załamania się, czy oporu Rosji Sowieckiej są równe. Dopiero niedawno Rosja zadała Polsce cios w plecy, w chwili, gdy Hitler napadł na nią z zachodu, a zanim się wycofała z terenów zabranych, zawiniła ciężko przez złe traktowanie i wytracanie Polaków. Co więcej, od czasu roku 1772, od pierwszego rozbioru Polski do dnia dzisiejszego w historii obu narodów nie zaszło nic takiego, co by mogło zmniejszyć wrodzony, dziedziczny brak zaufania Polaków do Rosjan. Ten brak zaufania jest bodaj bardziej naturalny i głębszy, niż gorzkie uczucia, jakie południowi Irlandczycy od czasów Cromwella żywią dla Anglików.

Tak przeszłość jak i teraźniejszość mogły człowieka mniejszego pokroju, z nakazów oczywistej ostrożności odstraszyć od zawarcia takiego paktu. Lecz odwaga, wyobraźnia i wiara na ogół trafniej przewidują, aniżeli ostrożność i te właśnie wielkie cnoty skłoniły gen. Sikorskiego do podpisania umowy. W ciągu sześciu miesięcy, które upłynęły od tego czasu, okazało się, że podpis ten był nie tylko nad wyraz cenny dla samej Polski, ale w ogóle dla całej sprawy Sprzymierzonych. Kraj pobłogosławi go za ten czyn odważny i twórczy. Ze wszystkich przywódców krajów, znajdujących się pod okupacją gen. Sikorski dowiódł, że jest naprawdę wybitną osobowością. Łączą się w nim w tak wysokim stopniu zalety przewidującego męża stanu i stratega wojskowego o najwyższych zdolnościach. Jest to idealne połączenie w okresie wojny totalnej. Polska może z niego być tak samo dumna, jak Anglia z Churchilla. I słusznie powiedział Churchill w dniu 3-go maja 1941: "Spotkałem waszego generała Sikorskiego, to wielki człowiek."

Wielki przywódca i wielki naród! Bo Polska to moralnie a nawet technicznie wielkie państwo. Płomień patriotyzmu gorejący w sercach Polaków podnosi ich do wielkości. To on każe im trwać w walce w Polsce, poza Polską, w Tobruku, na morzach, w powietrzu, wszędzie, walczyć dla jednego nieodpartego powodu: całkowitego odbudowania *bez żadnych pomniejszeń.* Kraj, który, pod względem gęstości zaludnienia stoi na szóstym miejscu w gronie wszystkich państw europejskich, który zasiadał w Radzie Ligi Narodów i który ma możność powzięcia całkowicie niezależnych decyzji w dziedzinie polityki państwowej, który przede wszystkim ma większą ilość wojsk walczących od wszystkich, przeciwko osi walczących europejskich państw razem, po Rosji i W. Brytanii—taki kraj jest wielkim państwem. Wybija się on na czoło wszystkich innych sojuszniczych rządów obecnych w Londynie i słusznie może być wspólnym dla nich wszystkich delegatem do Najwyższej Rady Wojennej.

Nie zapominając o wkładzie Polski do tego zwycięstwa, którego skrzydła ledwie jeszcze dostrzegamy, podpiszmy się wszyscy pod słowami Churchilla z 24-go sierpnia 1941: "Polacy, bohaterstwo waszego narodu, który przeciwstawia się okrutnym najeźdźcom, męstwo waszych żołnierzy, marynarzy i lotników—nie pójdzie w niepamięć. Kraj wasz odżyje na nowo i przejmie na nowo swą zasłużoną rolę w nowej organizacji Europy."

ALAN GRAHAM

przekład

ANTONINY JANOWSKIEJ

Autor tego artykułu jest członkiem Parlamentu Brytyjskiego. Por. jego artykuł: "Czy Polska obchodzi W. Brytanię" w nr. 48 z ub.r. oraz list do czytelników w nr. 1 b.r.

Prasa podziemna w Polsce

ROZMIARY AKCJI

Wspaniałym dowodem niezłomności ducha polskiego jest imponujący rozwój prasy podziemnej w okupowanym kraju. Redagowana przez dziennikarzy zawodowych i przez amatorów, drukowana i rozpowszechniana w warunkach niesłychanie trudnych, wymagających wielkiej odwagi, poświęcenia, czasem bohaterstwa—prasa ta odegrała ogromną rolę nie tyle w podtrzymywaniu ducha, bo on zawsze był dobry, ile w kierowaniu akcją podziemną i przygotowywaniu społeczeństwa do wielkich zadań, które przed nim staną.

Cyfra 150 wydawnictw, zanotowanych przez polskie placówki, utrzymujące łączność z krajem, to nie wszystko. Są z pewnością liczne pisma, których zasięg jest tak mały, względnie tak dobrze zakonspirowany, że nie zauważyli ich ludzie, zajmujący się rejestrowaniem tajnej prasy. Trzeba też pamiętać, że poza pisemkami we właściwym tego słowa znaczeniu ukazują się małe, skromne komunikaty radiowe, zazwyczaj bez tytułu i ograniczające się do krótkiego streszczania biuletynów dawniej z Tuluzy i Paryża, obecnie z Londynu. Nie są to pisma, jeśli jednak uwzględnimy, że taki komunikat, odbijany codziennie w kilkunastu egzemplarzach na maszynie, dostaje się czasem do rąk 200-300 ludzi, to musimy przyznać, że rola takich komunikatów w wyręczaniu prasy jest ogromna.

W całej Polsce wychodziły i wychodzą tajne pisemka. Najliczniejsze jednak są, jak z wielu oznak wnioskować można, w Polsce środkowej, w t. zw. Generalnym Gubernatorstwie. Mniej jest ich na terenach wcielonych do Rzeszy, nie dlatego, iżby tam duch był gorszy, lecz dlatego, że wysiedlania i egzekucje zadały tam inteligencji polskiej straty szczególnie dotkliwe, a w związku z rabunkiem większych i mniejszych przedsiębiorstw trudniej oczywiście o maszyny i papier.

Inny powód, mniej ważny, to ten, że na tym terenie jest obecnie więcej Niemców, a zatem więcej aparatów radiowych. Polacy zaś, jak wiemy z niektórych wyroków, ogłaszanych w prasie niemieckiej, słuchają czasem pokryjomu radia w mieszkaniach niemieckich. Na terenie wschodniej Polski, do niedawna okupowanej przez bolszewików, słuchanie radia londyńskiego nie było tępione, to też głód wiadomości był tam mniejszy. Ale oczywiście i tam ukazywały się pisma tajne.

PRZEMIANY ROZWOJOWE

W ciągu dwu lat prasa tajna przeszła wyraźną, a bardzo pożądaną przemianę. Minęły czasy, kiedy przeciętny Polak, wstrząśnięty i zdezorientowany katastrofą wrześniową, gorączkowo szukał pomyślnych wieści i gotów był przyjmować za dobrą monetę wszystko, co w tajnej gazetce wyszukał. Z drugiej zaś strony również i redaktorzy tajnych pisemek stali się ostrożniejsi, przekonawszy się, że czasami padali ofiarą audycyj rzekomo alianckich, a w rzeczywistości nadawanych przez Niemców i że poza tym, nawet gdy słuchali wiadomości niefałszowanych, przesadzali w optymiźmie.

Po licznych rozczarowaniach i zawodach przeciętny czytelnik stał się krytyczniejszy. Żądał szczerej prawdy, żądał faktów. A że trochę się ze sprawami wojskowymi zapoznał, więc i komentarze musiały stać na wyższym poziomie. Pism zaś było tyle, iż po pewnym czasie w niektórych ośrodkach głód wiadomości został jak gdyby zaspokojony.

Zjawiły się nowe potrzeby. Znalazły podatny grunt pisma humorystyczne, a raczej satyryczne, bo ich treścią jest wyszydzanie okupantów. Ukazały się więc pisma takie, jak "Lipa" czy "Szpilka" lub "Nowa Mucha". Dała się też odczuć potrzeba pism specjalnych, np. dla młodzieży oraz wydawnictw, poświęconych sprawom wojskowym. Ukazały się wydawnictwa o tytułach takich, jak "Wojsko i Niepodległość," "Biuletyn żołnierski." Zaczęto tłumaczyć z książek i pism niemieckich artykuły, mówiące o męstwie żołnierza polskiego i te właśnie materiały, w kraju, w tak trudnych warunkach zebrane, przydały się do akcji propagandowej tu, w Londynie.

Zarysowały się oczywiście, podobnie jak i u nas, różnice zdań, bo byli tacy, co prawda nieliczni, co bronili przed zarzutami nie tylko żołnierza, lecz także całe kierownictwo wojskowe i polityczne. Te różnice zdań widać w broszurach takich, jak: "W rocznicę Czynu Wrześniowego," "Po wrześniowej tragedii," "Kampania wrześniowa w świetle prawdy," "Czy wrzesień okrył naród polski niesławą?"

Ale podobnie jak u nas, na emigracji, tak i tam w kraju, rozumiano, że nie jest rzeczą najważniejszą ustalanie przyczyn kleski i nazwisk winowajców. Odczuwano potrzebę określenia oblicza przyszłej Polski. Z takich dążeń wypłynęły np. broszury "O treść i formę przyszłej Polski" albo "Przyszła Polska—państwem narodowym." Ale i w samych czasopismach znajdujemy nieraz obszerne i gruntownie opracowane artykuły na temat przyszłej Polski. Są całe wydawnictwa, poświęcone specjalnie omawianiu w sposób poważny głównych zagadnień. Tu wymienić można "Przegląd" lub "Trybunę Ludów." Pisma tego typu w ogóle nie umieszczaią bieżących wiadomości radiowych, lecz zajmują się kształtowaniem ideologii grup i ruchów, których są wyrazem.

CHARAKTER I POZIOM

Najczęstszy jednak typ pisma to druk, ukazujący się co tydzień lub dziesięć dni, zawierający i artykuły i informacje. Pisma te są na ogół wydawane starannie pod względem graficznym, co musimy podziwiać, zważywszy na niesłychanie ciężkie warunki, w jakich te wydawnictwa powstają. Znać troskę o unikanie błędów zarówno stylistycznych, jak zecerskich. Korekta jest w niektórych wydawnictwach wzorowa, lepsza, niż tu w Anglii. Często spotykamy ozdobne winiety.

Co do tytułów, to manifestują one niezachwianą wolę walki z najeźdźcą i odzyskania wolności. A więc mamy tytuły "Polska Walczy," "Polska w walce," "Szaniec," "Placówka," "Warta," "Robotnik w walce," "Barykada," "Zemsta," "Pobudka," "Grunwald," "Wolność," "Walka o wolność," "Polska żyje." Są pisma, które już swym tytułem zdradzają dla kogo są przeznaczone, a więc np. "Orlęta," "Ziemia mówi," "Miecz i Pług," "Wieś i Miasto," "Informator Robotniczy," "Proletariusz." Najczęstsze są jednak tytuły bezbarwne, z których Gestapo nic wywnioskować nie może. A więc "Dzwon," "Surma," "Dziennik Polski," "Głos Polski," "Rzeczpospolita."

W tygodnikach na pierwszym miejscu są poważniejsze artykuły, dalej idzie krótki zarys sytuacji w kraju, następnie streszczenie biuletynów radiowych, czasem jeszcze jakieś komunikaty od redakcji, ostrzeżenia, wreszcie pokwitowania złożonych ofiar. Ta ostatnia rubryka również świadczy o patriotyzmie i zwartości społeczeństwa. Sprzedawanie pism jest prawie niemożliwe, wydawcy jednak potrzebują pieniędzy. Więc ten i ów z grona czytelników za pośrednictwem łącznika, od którego otrzymuje gazetę, składa ofiarę pod pseudonimem, a redakcja kwituje w rubryce ofiar. Ofiary dochodzą, a tajemnica zostaje utrzymana.

Wśród pism, odbijanych na powielaczach, zdarzały się takie, które drukowały komunikaty z Londynu w porządku chronologicznym, to znaczy tak, jak je ogłaszano; zazwyczaj jednak pisma ogłaszają streszczenia biuletynów za omawiany okres, wyodrębniając sprawy polskie. Oczywiście w tych trudnych warunkach mija nieraz parę dni, nim pismo po oddaniu na maszynę wyjdzie z drukarni. Odbijaniem, cięciem arkuszy, spinaniem kartek, pakowaniem—nie może się przecież zajmować zbyt wielu ludzi, bo chodzi o tajemnicę. To też bywa czasem, że wiadomości "z ostatniej chwili" w rzeczywistości w chwili, gdy je otrzymuje czytelnik, pochodzą już z przed 4 lub 5 dni.

Ale czasem nawet pod względem szybkości osiąga się wyniki niezwykłe. Był dziennik, odbijany na powielaczu, który wiadomości ogłaszane przez Londyn późnym wieczorem, podawał już następnego dnia, to znaczy, że w południe pismo było już w głównych punktach rozdzielczych, a w godzinach popołudniowych docierało do rąk prenumeratorów, jeśli ich tak można nazwać.

Skala zainteresowań jest bardzo szeroka. Nie ograniczono się do piętnowania gwałtów niemieckich i omawiania spraw polskich. Można znaleźć w prasie tajnej numery pism, w których omawiano siły Japonii, kryzys włoskiego faszyzmu, położenie Hiszpanii etc. Czasem powstawały różnice zdań na tle takich dość odległych zagadnień. Np. w lipcu i sierpniu 1940r. wywiązała się jakby polemika na temat przyczyn upadku Francji. Jedne pisma wskazywały na Bluma, na rządy t.zw. frontu ludowego, na komunizm, inne znowu, wręcz przeciwnie, twierdziły, że proletariat gotów był walczyć, a zawiodła t.zw. reakcja i burżuazja.

Z takich to dyskusyj, ze sposobu cytowania niektórych polskich polityków w Londynie, ze stosunku do poprzedniego reżimu mógł uważny czytelnik wywnioskować, czy ma do czynienia raczej z pismem prawicowym czy lewicowym i jakiego odcienia. Pisma bowiem unikały wszystkiego, co mogłoby wyjaśnić Gestapowcom w jakich kołach szukać redaktorów. Ale jeśli jedno pismo obszernie streszczało np. przemówienie radiowe prof. Kota, lub innego polityka, a jeszcze inne zajmowało się obszernie podróżą gen. Hallera do Ameryki, to czytelnik mógł się zorientować, ku jakiej grupie dane pismo się skłania.

Podkreślić należy, że łączność między Londynem a prasą tajną funkcjonuje nieźle. Świadczy o tym choćby znany szeroko fakt umieszczenia w prasie podziemnej fotografii z pobytu Churchilla w obozie polskim w Szkocji. W pismach tajnych były też cytowane lub streszczane artykuły, drukowane w "Polsce Walczącej" lub "Dzienniku Polskim." Dotarły one wprawdzie z ogromnym opóźnieniem, ale dotarły.

ZWIERCIADŁO KRAJU

Prasa tajna dobrze odzwierciedla nastroje społeczeństwa. Można na jej łamach znaleźć podobne spory, podobne dyskusje i pytania oraz wątpliwości, co w polskiej prasie tutejszej, na emigracji. Nie ma jakichś zasadniczych, fundamentalnych różnic i to jest zupełnie zrozumiałe. Jest oczywiście różnica położenia. W Polsce obecnej jest głód, nędza, teror i to sprawia, że więcej wyczuwa się tam poświęcenia, ofiarności, bohaterstwa, niż tu w Anglii, która stała się dla niektórych prawie Kapuą.

Z tym więc ważnym zastrzeżeniem twierdzę, że i w emigracji i w cierpiącym kraju dają się zauważyć te same cechy charakteru narodowego, te same zalety i cnoty, ale niestety także i wady, ten sam jest sposób patrzenia na Niemcy, na powojenną Europę.

W ogóle według mego osobistego przekonania nie zachodzą w nastrojach polskich żadne bardzo głęboko sięgające przemiany. Katastrofa wrześniowa obaliła to, co było sztuczne lub zmurszałe. Potem odbywała się i odbywa pewna przemiana poglądów, ale moim zdaniem zmiany nie są tak bardzo rewolucyjne, iżby mogła zachodzić obawa, że my, po powrocie z Anglii już tej Polski nie poznamy. Nie! W kraju trwa twórcza praca myślowa, ale aby ona mogła przeorać do głębi umysły mas, na to trzeba by daleko potężniejszych środków propagandy niż te skromne tajne pisemka. Zresztą bardzo wielu Polaków świadomie odcina się od wszelkich dyskusyj ideowych. Jest im dość obojętne, jaka ta Polska będzie. Chcą dożyć chwili, kiedy będzie wolna i silna, kiedy zobaczą polskie sztandary i polskich żołnierzy.

Kraj ma na oku przede wszystkim cel główny, wygranie wojny. Stąd wyraźne dążenie do unikania wszystkiego, co by walkę z najeźdźcą mogło osłabić, stąd apele do karności i solidarności. Nie ma na ogół polemik na tle partyjno-politycznym.

Na pochwałę prasy tajnej stwierdzić trzeba, że wskazuje ona społeczeństwu z całą otwartością jego obowiązki, a jeśli dostrzega objawy ujemne, piętnuje je energicznie, nie obawiając się zarzutu, że ujawnianie prawdy może rzekomo osłabić ducha lub zaszkodzić w oczach świata.

Bardzo często w prasie podziemnej spotyka się nawoływania do wychowania nowego typu Polaka, do podjęcia gruntownej pracy wychowawczej celem pozbycia się różnych wad narodowych. Podkreślane są obowiązki młodzieży, która mimo trudnych warunków powinna się kształcić.

"Młodzieży Polska! — woła jedno z pism—do warsztatu—do książki—do samouctwa."

Apeluje się często do solidarności narodowej w uczuciach i działaniach. Spotyka się więc ciągle wezwania do dzielenia się żywnością z wysiedlonymi, do zaopatrywania miast i oczywiście do sabotowania niemieckich rozporządzeń o rekwizycjach.

Pisma wzywają nie tylko do niewykonywania zarządzeń niemieckich, lecz także do manifestowania niezachwianej woli walki z najeźdźcą aż do zwycięstwa. A więc nawołują np. do wstrzymania się od ruchu ulicznego w pewnych godzinach w dniach rocznic narodowych /np. 3 Maja, 11 Listopada/ i do bojkotu prasy gadzinowej. Całkowity, systematyczny bojkot tej prasy jest oczywiście niemożliwy, bo jednak bądź co bądź przynosi ona zawiadomienia o rozdziale żywności na kartki i poszukiwania osób zaginionych.

Prasa tajna piętnuje ostro wszelkie objawy łamania jednolitego frontu wobec najeźdźców, a więc bardzo rzadkie zresztą wypadki utrzymywania stosunków towarzyskich z Niemcami i zapowiada surowe kary na donosicieli.

Rozumiejąc, że nowa Polska musi być silniejsza niż była, pisma podziemne podkreślają znaczenie dobrych granic strategicznych i popierają plan stworzenia dokoła Polski większego bloku państw. Omawiana jest sprawa federacji z Czechosłowacją, a czasem także, choć rzadko, poruszane są sprawy stosunku do Litwinów, Białorusinów, Ukraińców.

Ale rozumiana jest także potrzeba wzmocnienia narodu polskiego. To też jedno z pism woła: "Polacy! Ślubów, małżeństw i dzieci—jak najwięcej, ale wesel żadnych!" Podobne stanowisko zajmuje inna gazetka w artykule p.t. "Więcej kołysek."

KONTROLA MORALNA

Okupanci szerzą alkoholizm. To niebezpieczeństwo dostrzegła prasa podziemna i oto jedna z gazetek, trochę przesadzając, pisze: "Zalewa nas gorzałka. Okupant osiąga w pełni swoje cele. Pijemy co raz więcej . . ."

Walka z pijaństwem, która przydałaby się nie tylko tam w Polsce, jest tym konieczniejsza, że równocześnie organizmy wyczerpane są głodowymi racjami. To także warto zacytować i warto stale mieć w pamięci w Anglii, gdzie jeszcze się słyszy bezpodstawne skargi na rzekomo niskie pensje w urzędach i gdzie ofiarność na Czerwony Krzyż wciąż jest niewystarczająca.

Posłuchajmy, co pisze tygodnik lewicowy: "W obrębie dzielnicy żydowskiej w Warszawie umiera już obecnie z głodu miesięcznie co najmniej tysiąc ludzi."

Podobnie pisze gazeta prawicowa: "Po miastach i osiedlach podmiejskich puchlizna głodowa jest już w praktyce lekarzy zjawiskiem bardzo częstym i mnożą się zgony z wyczerpania. Głód zagląda również na wieś, wyczerpaną przez kontyngenty zbożowe i zwierzęce."

W takiej sytuacji tym bardziej oburza egoizm i rozrzutny tryb życia garści bogacących się. Nie mniej cierpkie i twarde słowa znajdujemy w innym piśmie, omawiającym sytuację polityczną: "Dziś, pod kupami frazesów programowych i patriotycznych legła słabość i wygodna bezczynność. Dziś nie walka o polskość i Polskę, jak to było zaraz po dniach wrześniowych, lecz niepokój o władzę w przyszłej Polsce, spędza sen z powiek wielu Polakom. Większość sił zużywa się na przygotowania do objęcia tej władzy, chociaż by nawet wbrew woli narodu . . ."

Sądzę, że jest to zarzut przejaskrawiony. Ale skoro tak pisze prasa podziemna, to niechże to będzie wskazówką, że nie należy schlebiać i powstrzymywać się od napomnień i wyrzutów, które przecież są niezbędne, jeśli mamy pozbyć się starych błędów i rzeczywiście wychować nowy typ Polaka.

Dużo w prasie podziemnej można znaleźć rzeczy godnych uwagi. Dużo wskazówek, dużo wzorów. A wszelkie nieuniknione usterki prasy podziemnej bledną wobec faktu, że pisma te redagowane są przez ludzi narażonych w każdej chwili na aresztowania, tortury i śmierć, że drukowanie i rozpowszechnianie tych pism już wielu ludzi przypłaciło życiem.

Ale na ich miejsce stają nowi i prasa tajna wciąż trwa, wciąż walczy.

KAROL LESKOWIEC

WARSZAWA

Gdy o Ojczyźnie mojej myślę—
Myślę: Aleje, Zjazd, Powiśle . . .

Tobie ojczyzną wioska, ruczaj,
Mnie—Mokotowska, Bracka, Krucza . . .

Nie las, nie łąka, nie łan zboża,
A Krzywe Koło, Wspólna, Hoża . . .

I kiedy bierze mnie tęsknota,
To myślę: Chmielna . . . marzę: Złota . . .

Jeśli mam zginąć—dobry Boże,
To za spalone domy Hożej.

Jeśli mam zginąć—niech mnie zniszczą
Za Nowy Świat, podobny zgliszczom,

Za Świętokrzyską zrujnowaną
Za Dobrą, Twardą i Drewnianą . . .

Lecz przedtem—daj mi ujrzeć latem
Księżyc, idący Mariensztatem . . .

OF

Wiersz niniejszy pochodzi z wydawnictwa konspiracyjnego

Nowości lotnicze

Mówi się: walkę o Pacyfik rozstrzygnie lotnictwo. Niewątpliwie tak. Rozważmy zatem możliwości obu stron z lotniczego punktu widzenia.

Wprawdzie działania lotnictwa japońskiego na Pacyfiku nie osłabły, jednak w tej chwili, kiedy to piszemy, zaznaczyło się już również i działanie lotnictwa amerykańskiego. Wyniki uzyskane przez to lotnictwo są bardzo poważne i niewątpliwie powinny zastanowić japońskie kierownictwo akcji filipińskiej.

Czytając te słowa ktoś słusznie może zauważyć: może zaznaczyły się działania lotnictwa amerykańskiego, lecz mimo wszystko Japończycy w dalszym ciągu mają wolną rękę na Pacyfiku i wysadzają swe desanty tam, gdzie chcą i jak chcą, nie napotykając na szczególny opór. Niewątpliwie tak jest, jednak utrata czyto przez zatopienie, czy przez uszkodzenia 12 jednostek w czasie jednej tylko akcji, daje miarę tego, do czego lotnictwo amerykańskie jest zdolne, gdy działa w sposób zorganizowany, jak i tego, że przy użyciu przez przeciwnika środków równorzędnych—lotnictwo japońskie nie jest w stanie skutecznie się przeciwstawić.

Najbliższa przyszłość okaże, czy stosowana obecnie przez admiralicję amerykańską taktyka wyczekiwania i koncentrowania środków przeciwdziałania, lecz już na wielką skalę—jest słuszna . . . Jedno jest w każdym razie pewne: rozpraszanie środków do celów ściśle obronnych, gdy się nadmiaru tych środków nie ma, jest śmiertelnym grzechem przeciw zasadom strategii i taktyki. Jeżeli chodzi o strategię i taktykę morską, a właśnie ona pozostaje w najbliższym pokrewieństwie z taktyką i strategią powietrzną, to najlepszym a odstraszającym przykładem jest bitwa pod Coronelem w 1914 roku. Sir Craddock padł wprawdzie ofiarą, lecz jednak ta ofiara spowodowała w rezultacie zwycięską bitwę pod Falklandami. Z obserwacji możemy powiedzieć, że marynarka brytyjska tej nauki nie zapomniała. Pamięta ją i marynarka Stanów Zjednoczonych.

Lotnictwo amerykańskie jest siłą nie do pogardzenia. Pozorna bezczynność tego lotnictwa w pierwszej fazie wojny japońsko-amerykańskiej może wywołać wrażenie odwrotne. Jednak przyczyny tej bezczynności, a raczej mało skutecznych, prowadzonych niedostatecznymi siłami przeciwdziałań należy szukać nie w ilości, jakości, czy taktyce lotnictwa amerykańskiego, lecz w płaszczyźnie ogólnego przygotowania do wojny ze strony Stanów Zjednoczonych a przede wszystkim w źle przeprowadzonym planie rozbudowy floty.

Jak czołg jest wynalazkiem angielskim, tak lotnictwo nurkowe zostało zastosowane po raz pierwszy przez Amerykę. Pierwsze próby użycia tego nowego rodzaju lotnictwa zostały przeprowadzone na większą skalę bodajże w 1927 roku, w czasie ówczesnych dorocznych manewrów w okolicach Kanału Panamskiego. Celem był stary pancernik, który zaraz po pierwszym nalocie i otrzymaniu paru serji celnych bomb—zatonął. Wyniki osiągnięte w procencie celności były rewelacyjne i zaskoczyły obserwatorów. Jeżeli chodzi o precyzyjne bombardowanie celów niewielkich prawdopodobieństwo trafienia skoczyło od razu w górę o parę setek procentów.

Ponieważ Amerykanie nie taili zupełnie wyników doświadczeń (może czytelnicy przypomną sobie filmy lotnicze z tego czasu) Niemcy od razu podchwycili metodę i przestudiowali ją na swoich poligonach ze swoją przysłowiową dokładnością. Niebawem też wprowadzili lotnictwo nurkowe, jako osobny rodzaj lotnictwa do swej *Luftwehr*, tak niewinnie bowiem nazywała sie ówczas dzisiejsza *Luftwaffe*. Wprowadzili—rzecz jasna pokryjomu—ukrywając typy nurkowców w sportowym lotnictwie wyczynowym, "akrobatycznym." W ten bowiem sposób najłatwiej można było wytłomaczyć podejrzanie silną budowę skrzydeł i kadłuba takich maszyn. Nie zwróciły one szczególnej uwagi obserwatorów, bo przy akrobacji były ociężałe. Toteż nie latał na nich Fieseler. Po prostu—określano je jako typ nieudały.

Tutaj dodać należy uwagę, że w opinii fachowców lotniczych 1939 Niemcy—jeżeli chodzi o budowę maszyn myśliwskich ,były zupełnie lekceważone. Uchodziło po prostu za pewnik, że konstruktorzy niemieccy nie są w stanie wyprodukować dobrej maszyny myśliwskiej. Z żywą przykrością stwierdzam, że pogląd ten powszechnie panował i w kołach polskich znawców i fachowców.

Jednak z tych nieudanych typów i doświadczeń z nimi urodziła się niebawem współpraca lotnictwa nurkowego z piechotą i czołgami. Ten rozwój lotnictwa dotychczas przede wszystkim morskiego był naturalny, gdyż Niemcy nie mogąc przeprowadzać prób na morzu, jak to czyniły w większej lub mniejszej skali inne państwa niekrępowane traktatem wersalskim, przeprowadzały je na ziemi.

Natomiast w Ameryce dział lotnictwa nurkowego, tak zasadniczy, dla walki lotniczo-morskiej uległ nie tyle zaniedbaniu, gdyż w dalszym ciągu admiralicja poświęcała mu wiele uwagi, ile nie został dostatecznie rozbudowany. Możliwe, że przemysłowcom z Hollywood najzupełniej wystarczała do organizowania imponujących widowisk "Saratoga" ze swymi samolotami. Wobec tego nie troszczono się o wydajne powiększenie podobnych maszyn, no i przede wszystkim — lotniskowców.

Jakie były po temu i inne przyczyny—nie bardzo wiadomo. W każdym razie Ameryka popełniła ten sam błąd co i inne państwa: lotniskowców w stosunku do jednostek ciężkich było za mało. Była to pomyłka, a wiadomo, że za każdą pomyłkę płaci się na wojnie bardzo drogo. Dotychczas Amerykanie zapłacili za nią stratą wielu jednostek floty, wyspami Wake, Guam i Manilą, a płacić będą i dalej.

Jednak z tego co się stało, nie należy wyciągać wniosków pesymistycznych o przyszłości, gdyż były by to wnioski fałszywe. Przede wszystkim dlatego, że lotnictwo japońskie jest w gruncie rzeczy w stosunku do zadań, jakie sobie musiało postawić—właściwie liczebnie niewystarczające. Musi więc działać w rozproszeniu. W takich jak obecne warunkach utrzymanie na stałe przewagi w powietrzu na wszystkich terenach bitew jest dla Japończyków po prostu rzeczą niemożliwą. Mamy przykład na Niemczech, a przecież zasoby i liczebność lotnictwa niemieckiego przewyższały kilkakrotnie liczebność i zasoby lotnictwa japońskiego, z tym, że nie miało tak obłędnych przestrzeni do pokonania, gdyż teatry wojenne na których działało równocześnie były nierównie sobie bliższe.

Warunki geograficzne wskazują na fakt, że w przeciwieństwie do lotnictwa japońskiego, lotnictwo amerykańskie może w obecnych warunkach działać zwarcie, atakując kolejno tereny działań nieprzyjaciela, o ile, rzecz jasna, decyduje się z góry na pewne straty terenowe.

Możności obrońcy wyrażają się w zaopatrzeniu i czasie. Ważną funkcją czasu będzie w tym wypadku przestrzeń.

Weźmy pod lupę mapy. Studiując czynniki tej wojny i możliwości po stronie japońskiej dojdziemy do wniosku, że gdyby działania japońskie postępowały równie szybko jak dotychczas /a już dzisiaj powiedzieć możemy, że to nie będzie możliwe, z braku koniecznego warunku zaskoczenia/ na osiągnięcie pierwszych celów i zakończenie pierwszej fazy działań wojennych japońskich /zdobycie Filipin, Sumatry, Borneo, Celebes, Malaji/ potrzeba co najmniej roku.

Otóż tutaj funkcja przestrzeni daje nam w wyniku współczynnik czasu. Czas znowu — to wyzyskanie możliwości produkcyjnych przemysłu amerykańskiego i wyszkolenie w dostatecznej ilości personelu.

Rok czasu—patrząc na to z punktu widzenia ostatniej mowy Roosevelta — powinien w zupełności wystarczyć nie tylko na zorganizowanie skutecznego oporu w powietrzu, lecz i na osiągnięcie potrzebnej do działań ofensywnych przewagi w powietrzu na tych terenach operacyjnych, na jakich Amerykanie postanowią działać zaczepnie.

Inną sprawą natomiast będzie fakt, że Japończycy uzyskując cele pierwszej fazy znajdą się w groźnie dogodnej sytuacji strategicznej—Ameryka musi się tedy śpieszyć.

ADAM STERBAŁŁA

Pomoc dla Polaków w Rosji

Redaktor "Polski Walczącej,"
Z polecenia Naczelnego Wodza przesyłam £5 na pomoc Polakom w Rosji zamiast kwiatów córce pułk. Mikulicz-Radeckiego w dniu Jej ślubu.

Szef Gabinetu Naczelnego Wodza i Ministra Spraw Wojskowych

* * *

Zamiast kwiatów dla córki pułk. Mikulicz-Radeckiego w dniu Jej ślubu przesyłam £1.

Z. Borkowski

* * *

Otrzymaliśmy nadto na ten cel od pracowników Wojskowego Biura Prop. i Ośw. sh. 12, od kpr. L.Z. 3 sh, od mjr. B.K. 15 sh., od bomb. pchr. J.S. 7 sh., od wachm. W.D. 'zamiast podarunku dla szkockich przyjaciół, tak jak pisał pan Budzyński" 9 sh., od ppor. M.O. 11 sh. "ze zbiórki w kasynie."

Łączną sumę 8£ 17 sh. przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Bez black-outu

Grozi mi poważne niebezpieczeństwo. A wszystko przez to, że zachciało mi się gawędzenia z Wami—Drodzy Koledzy i Czytelnicy—na tematy często delikatne, jeszcze częściej niedomówione i to w dodatku przy oknie odartym z "black-outu" (sam pomysł oceniam co najmniej na 14 dni ścisłego . . . myślenia).

Już przy drugim "blackoucie" okazało się, że tematy rosną, jak odprawy wojskowe, i że w ogóle całe nasze życie tutaj—to jeden wielki temat do rozmów, prowadzonych koniecznie przy otwartych na oścież drzwiach i oknach. Przy czwartym felietonie .. założyłem teczkę: "Bieżące" i kupiłem registrator, przy szóstym założyłem "Protokół podawczy," przy siódmym sprawiłem sobie dwie teczki: "Wpłynęło" i "Wypłynęło"—słowem "nastrój kontynentalny," mówiąc stylem ogłoszeń naszego organu urzędowego.

Dzisiejszy "blackout" nosi numer kolejny 13. Wyobraźcie więc sobie w obliczu jakiego niebezpieczeństwa stanąłem u progu nowego roku 1942: po prostu zakładam biuro "bezblackoutowe." Już mam "dziurkacz," bibularz, spinacze, kalendarz i czerwony ołówek. Właściwie, poco mi czerwony ołówek? Przecież napewno zawsze dostanę go bezinteresownie od kochanego i niezawodnego cenzora. Ale mam. Na wszelki wypadek. Gdyby cenzor biedaczysko coś prześlepił . . . to ja uczciwie podkreślę—pardon—przekreślę.

Charakter biura zmusza mnie do tego, że zaczynam nie tylko innym, ale i samemu sobie utrudniać życie. Doszło do tego, że zainteresowała się mną całkiem poważnie "właściwa władza," która kazała mi nadsyłać "według rozdzielnika" umotywowane odpisy ksiąg materiałowych, przy czym za wypalone w czasie pisania papierosy, kupione za własne pieniądze, winienem przedkładać umotywowany rachunek właściwego "tobacconisty" szkockiego, z odpowiednim tradycyjnym dopiskiem: "stwierdzam konieczność tego wydatku."

Otrzymałem również z kilku stron konkretne propozycje zorganizowania odcinka "bez black-outu" w formie oddziału wojskowego. Oczywiście na czele tej formacji stałby ktoś z odpowiednią "konstelacją" na ramieniu, jako zastępca pierwszy "bezblackoutowy oficer łącznikowy," na dalszym szczeblu "oficer bezblackoutowy do zleceń," potem długo, długo nic—i dopiero . . . ja, jako "starszy strzelec bezblackoutowy" z całkowitą odpowiedzialnością za strzelanie aż do . . . paki włącznie, z prawem awansu na tytularnego kaprala w dwa lata po szczęśliwym zakończeniu wojny z Japonią, oraz bez prawa noszenia bronzowych butów. Są ludzie do roboty, są—tylko poszukać . . . I samemu robić.

Jak zauważyliście pewnie, Drodzy Koledzy i Czytelnicy, zacząłem w ostatnich czasach pisywać dużo listów otwartych /moda/. Pisałem do św. Mikołaja, G.P.O. Niebo i do lotników polskich, przybyłych z Rosji. Teczka: "Wypłynęło" rośnie, registrator puchnie od nadmiaru kopii i załączników. Lecą papierki . . . Tak, tak. Nosił wilk, ponieśli i wilka. Nie wyłażę z papierów. Jeszcze trochę a fundnę sobie kilka tabliczek: "Wejście przez pokój 258," "Proszę się witać bez zdejmowania kapelusza," "Uprasza się nie wyciągać ręki do Rodaków," "Nie odbieraj posady pracującym . . ." Potem jeszcze skromny woźny za sowitym wynagrodzeniem, potem karteczki dla klientów z datą przekroczenia granicy i . . . bufet.

Dla bufetu mam już przyrządzony wyjątkowy napój wyskokowy: piwo, nawarzone przeze mnie samego z powodu kilku moich gawęd z Wami, Drodzy Czytelnicy. Piwo to nalewam z teczki: "Wpłynęło," która szczególnie w ostatnich dniach zapełniła się nieprzyzwoicie. Bufet otwarty. Duży garniec, osobiście nawarzonego piwa, wychylam sam. Tę pierwszą "bombę" piwa zapełniła w całości kropelka po kropelce tajemnicza korespondentka "Barbara L." Tylko "L." Nic więcej nie wiem! I to jeszcze tylko, że "Barbara." Z tego samotnego "L." wypływa naszym staropolskim obyczajem istny grad anonimowych strzałów Barbary, która uderza mniej więcej w taki ton:

"O ile pan ma zamiar naprawiać nas, proszę poczekać z tym, aż powrócimy do kraju. Niepięknie na obczyźnie wytykać nam—urojone w dodatku błędy . . . Wstyd, żeby Polak tak postępował. Pięknie ceni pan swój naród. Cóż wobec tego obcy mają o nim mówić? Jak śmiał pan nas tak obrazić wszystkich? Dziwi mnie, że poważne pismo mogło pańskie kalumnie wydrukować."

Szanowna Barbaro L.—ja też się czasem dziwię, że to drukują. Myślałem, że nie da rady, ale . . . pukam w nieheblowane drzewo /żeby nie urzec/. "Aż powrócimy do kraju"—nie mogę poczekać, bo wydaje mi się, że wtedy nie będzie na takie rzeczy czasu, więc trzeba teraz, koniecznie teraz, właśnie, żeby móc bez niepokoju myśleć o powrocie . . . "Niepięknie" wytykać błędy na obczyźnie, ale i "niepięknie"—błędy te popełniać. A czy urojone? "Popatrz Basiu pono nasi biją . . ."—czasem w tarabany, czasem na dancingu . . .

Zdarza się bowiem, że "naród" od czasu do czasu siebie "nie ceni"i dlatego nie będę się wstydził, Szanowna Barbaro L. Będę mówił o tym głośno, dopóki "poważne pismo" wytrzyma. Ciekawi mnie tylko kapitalne zagadnienie: co Panią tak obraziło? Czy aby nie przypadkiem fakt podkreślonego przeze mnie dominowania wpływów pani naczelnikowej skarbowej i komisarzowej policji w sklepie Korzonkiewicza — kosztem pozbawionego wpływów robotnika? "Niepięknie"—jeżeli to właśnie.

Bufet otwarty. Pijmy dalej z tego samego garnca Barbary:

"Zdaje się, że nigdy nie był pan zagranicą? Chodzi więc pan tu z otwartymi ustami dziwiąc się wszystkiemu?"

Istotnie za granicą bywałem rzadko. W Anglii jestem "przejazdem" . . . Chodzę z otwartymi . . . oczami, usta mam zamknięte. Dziwię się tylko czasem i wtedy piszę. Jestem natomiast pewny, że pani niewątpliwie stale zamieszkiwała za granicą, tym więcej "dziwi" mnie ten przedwojenny, wywietrzałym ozonem pachnący, górny ton listu Pani, wskrzeszający niesławne tradycje naszego załgania. N.p.

"Najgorszy taki ptak, który własne gniazdo kala. Sprawie polskiej pięknie się pan przysługuje. Proszę przestać pisania artykułów."

Nie przestanę i będę "kalał," bo w gniazdeczku są robaczki oraz ździebełka i trzeba je "niepięknie" "wykalać," żeby nie robić generalnego prania w gniazdku w tej wielkiej chwili, gdy ptaki zerwą się do lotu . . .

Pijmy do dna. Piwo Barbarowe zaczyna być gorzkie i mętne:

"W ogóle, może lepiej, proszę się przenieść do Gestapo. Tam zdrajców, krytykujących nasz charakter bardzo potrzebują. W Polsce takich ludzi brak. Z nabytku tego ucieszą się niezawodnie. Szczególnie, jeżeli pan przyrzeknie kontynuowanie służby na obcym gruncie. Cześć Panu."

Niestety, Barbaro L., porozumiewałem się z Gestapo, ale mnie nie chcą. To znaczy właściwie, może by chcieli, ale . . . nie do krytykowania. Co robić? Pisałem także do Quislinga i do Lavala. Znikąd ratunku. Nie chcą mnie. Mówią, że jestem za ostry, za bezwzględny i brutalny. I w ogóle, że robię . . . "niepięknie." Cześć Pani.

Jest jeszcze, jak zawsze w anonimie, postscriptum, niemal szablonowe:

"Piszę w imieniu wszystkich, którzy te artykuły pana czytali."

Tak, tak. Ja to już gdzieś słyszałem. Czy aby nie w anonimach, nadsyłanych w swoim czasie do Polskiego Radia z powodu audycyj satyrycznych, obyczajowych i aktualnych, które komuś podsunęły lusterko pod własną duszę, czyjeś wady zdemaskowały, komuś rozwaliły krąg złudzeń, misternie nizanych załganiem siebie samego lub okłamywaniem innych.

"Polska Walcząca" płynie dotychczas spokojnie i godnie po wzburzonych falach Oceanu Polemikomanii emigracyjnej. Nie chcę zakłócać jej rejsu i zanieczyszczać pokładu odpadkami niepotrzebnych, a może nawet szkodliwych słów, dla których najwłaściwszy byłby . . . kosz, jedyne miejsce dla anonimów, nawet w sprawach matrymonialnych.

Za całą więc odpowiedź przyjmij Barbaro, a raczej Barbario *"L."—wyjątek z listu lotnika czeskiego z R.A.F., który tak "kala" i tak "niepięknie," ale tak szczerze i zdrowo pisze:*

"Čitávám s velkým zájmem Vaš članek: "Bez black-outu." Nejsem žádny literázni kritik, ale souhlasim s Vámi na 100%, ponevadz bolesti, o kterych pišete se podobne projevuji i nas-Čechu."

Czechosłowacki bracie "somewhere in England"—w duchu "Wam tisknu ruku" za Twój głos szczery, prosty i otwarty. Na zdar.

WIKTOR BUDZYŃSKI

P.S. Wszystkich Kolegów i Czytelników moich proszę o pomoc w mej pracy destrukcyjnej i w fabrykacji "kalumnii." Mile widziane listy i kartki z konkretnymi tematami, bolączkami, niedomówionymi drobiazgami, z których lęgną się bakcyle, zatruwające atmosferę polską na brytyjskiej kępie. Dyskrecja zapewniona. Anonimy będą drukowane w całej rozciągłości w formie odcinków powieściowych z dalszym ciągiem—o ile "poważne pismo" nie straci cierpliwości.

Z życia obozów

Wigilia na okręcie Marynarki Wojennej

Wigilia. Niebo pokryte ciężkimi zwałami chmur a wiatr wygrywa swe smętne melodie wśród lin. Morze rozbujałe, pokryte pianą fal, jakby rozgniewane, że nawet w ten dzień, człowiek nie daje mu spokoju, tylko orze po jego grzbiecie, zmuszając je do swojej służby. Okręt rozbujany, przerzyna garby fal, raz po raz zanurzając swój dziób, jakby je kąsał. Pędzi na przód zostawiając po sobie biały ślad, który za chwilę zniknie. Jest jak koń wyścigowy, na wyścigach z przeszkodami i rwie się do mety portu.

Na okręcie twarze uśmiechnięte i oczy niecodziennie błyszczące, gdyż będziemy należeć do tych szczęśliwców, którzy Wigilię Bożego Narodzenia spędzą w spokojnej przystani portowej. Pomimo, że od portu dzielą nas jeszcze dziesiątki mil a na horyzoncie zarysowują się zaledwie sylwetki przybrzeżnych wysepek, wolne wachty zabierają się do czyszczenia i mycia, by przybrać okręt w czystą szatę świąteczną.

Trudno się utrzymać na nogach, gdyż prawo Newtona jest wciąż jeszcze prawomocne, lecz u wszystkich jest zapał a to pokonuje wszelkie przeszkody. Woda rozlana z powywracanych wiader, postawionych w dobrej wierze, że się nie wywrócą, przelewa się z burty na burtę. Słychać śmiech i żarty, czasem klątwę, o ile komuś nieuważnemu jakiś martwy przedmiot na nogi najedzie lub też sam, na swoim własnym siedzeniu po mokrej podłodze szerokość kajuty przemierza. Lecz klątwa ta to raczej nawyk, niż złość. Ginie to w głośnym rozgadywaniu się, ile też "kissów" każdy otrzyma od wybranki swego serca à konto nadchodzących Świąt. Jeszcze przed wjazdem do portu, wszystkie pomieszczenia aż błyszczą czystością, a mat T., nasz komendant pomieszczenia (niecierpiący brudu i lenistwa) przegląda wszystkie kąty i zadowolony częstuje papierosami.

Od czasu do czasu ktoś się wymyka, by przejść się koło kuchni i z woni wywnioskować, co też na kolację będzie, jako że po śledziowym obiedzie, żołądki nasze wygrywają marsza żałobnego, żaląc się na podłe traktowanie. Nareszcie zakotwiczenie a raczej przycumowanie do mola, mycie, kąpiel, golenie i przebieranie się na granatowo.

Stoły przykryte białymi obrusami, przybierają wygląd niecodzienny a na jednym z nich, o Boże, cała masa poczty: listy, karty z życzeniami od naszych przyjaciół brytyjskich, kolegów, niekiedy od przygodnie poznanych osób. Tylko od naszych kochanych rodaków, będących na tutejszym terenie, żadnego życzenia nie było, widocznie sądzą, że nie jesteśmy tego warci, ale mniejsza z tym, daj im Boże zdrowie i szczęście.

Na schodach zjawia się komendant pomieszczenia, z tajemniczą miną i dosyć ciężkim workiem, który wywołuje uśmiech i podnieca nasze zaciekawienie. Mat ogarnia wszystkich dumnym spojrzeniem, otwiera worek, wyjmuje paczki i wywołuje nazwiska, podając je właścicielom. Nie wszyscy są obecni, wielu kolegów jest na służbie w kotłowni, w maszynie, gdyż stoimy w pogotowiu, paczki te przejmują koledzy. Jest to podarunek gwiazdkowy Lady M. W każdej paczce znajdujemy czekoladę i serdeczne życzenia z jej strony. Jest to bardzo miłe i na tym miejscu składamy jej najserdeczniejsze podziękowanie za jej pamięć o nas.

Nareszcie, po długim oczekiwaniu, zjawiają się potrawy, po polsku przyrządzone i mile łechcące nasze nozdrza, wyroby naszych mistrzów kuchni, którzy w czasie ciężkiej pogody je przyrządzali. Zdajemy sobie naturalnie sprawę z ich trudu i hymny pochwalne płyną w ich stronę.

Na każdym stole, na honorowym miejscu jest opłatek, na nieco mniej honorowym oczywiście butelka z "Ginem". Jest go trochę mało, gdyż na każdego tylko po trzy kieliszki przypada. Nie wywołuje to jednak żalu, gdyż wiemy, że przez skromność naszych Świąt, powiększy się pomoc dla naszych rodaków w Rosji. Z niecierpliwością wyczekujemy dowódcy, który po chwili przychodzi w asyście oficerów.

Następuje łamanie się opłatkiem i życzenia obustronne, które są szczere, z głębi serca płynące. W chwili tej, myśli i uczucia nasze płyną tam daleko, w nasze rodzinne ojczyste progi, jakże bliskie sercom naszym, do naszych rodzin i przyjaciół, którzy kto wie, czy są jeszcze na tym świecie. Wiemy, że jeśli żyją, ich myśli płyną tak samo w naszą stronę w oczekiwaniu pomocy z naszej strony. Niejeden ociera łzy w ukryciu, których się wstydzi, oczy błyszczą i czytać w nich można postanowienie, że tamci tej pomocy nie będą oczekiwać nadaremnie. Jest to chwila ciężka dla nas, gdyż w powszednim życiu, wśród pracy i napięcia nerwów, nie mamy czasu o nich myśleć.

Po złożeniu życzeń, dowódca z kilkoma oficerami odchodzi, by także załodze pokładowej złożyć życzenia. Pozostaje pierwszy i drugi mechanik, którzy spędzają z nami wieczór do końca.

Nareszcie możemy się dobrać do specjałów kulinarnych naszych mistrzów kuchni, no i do "Ginu", którego zresztą mamy tyle co medycyny, jak już wyżej wspomniałem. Pierwszy toast zostaje wychylony na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, drugi na cześć naszego dowódcy i oficerów, a trzeci i ostatni na zdrowie naszych bliskich i zdrowie nasze, by dzieci nasze bogatych rodziców miały.

Po kolacji następuje śpiewanie kolend, od którego nam gardła wysychają. Śpiew ten może niemiły dla delikatnego ucha, gdyż głosy nasze zdążyły ochrypnąć przez dwa lata służby na Atlantyku, wśród mgieł i wichrów, ale był miły dla naszych uszu. W chwili tej kochaliśmy się, jak rodzeni bracia, jeden na drugiego spoglądał z podziwem, jak gdyby tenora słyszał i zmuszał siebie do większego jeszcze wysiłku. Po pewnej chwili większa część miała oczy wstydliwie podniesione do sufitu, by nie widzieć, pełnych zachwytu spojrzeń pozostałej części kolegów.

Po odśpiewaniu kolend i wyschnięciu naszych gardzieli, nastąpiło zwolnienie wolnej burty na ląd. Każdy śpieszy do swych znajomych, którzy mu w tej gościnnej ziemi serca otwarli i dom rodzinny zastąpili, by z nimi spędzić resztę wieczoru.

Tegoroczna Wigilia była bardzo skromna, chociaż wiadomo, że jest to największe święto marynarza. Byliśmy szczęśliwi, o wiele szczęśliwsi od naszych kolegów na innych okrętach, którzy daleko na morzu, wśród szumu przelewających się fal i wichru, spędzali ten wieczór, w służbie dla wolności ludów i lepszej ich przyszłości.

EDWARD SKRZYPEK.

Ołtarz artylerzystów



Pod koniec ubiegłego roku odbyło się poświęcenie pierwszego przenośnego ołtarza polowego, wykonanego w W. Brytanii. Ufundowali go oficerowie, a wykonali artystycznie żołnierze jednej z baterii artylerii lekkiej. Ołtarz ten ma swą historię, świadczącą o przywiązaniu i miłości żołnierza polskiego do "Tej co Jasnej broni Góry."

Oddawna w skromnej, ale przytulnie urządzonej świetlicy bateryjnej honorowe miejsce zajmował wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej—zwykła odbitka litograficzna, przywieziona z kraju i z pietyzmem przechowywana przez żołnierzy. Pewnego razu Dowódca baterii rzucił myśl wykonania większej, wiernej kopii obrazu przez artystów malarzy, będących dzisiaj w szeregach.

Wzięto się do roboty: artysta malarz, podch. E. Ch. zaprojektował i wykonał obraz, będący zarówno co do rozmiarów jak i co do techniki wykonania, w każdym szczególe kopią obrazu, znajdującego się w klasztorze Jasnogórskim. Obraz ten malowany jest na miedzi; ozdobiony ręcznie kutymi i złoconymi koronami i ujęty w ramę z białego metalu.

W toku pracy postanowiono obraz umieścić na specjalnym przenośnym ołtarzu polowym, którego projekt i wykonanie również ma wymowę pięknego symbolu. Ołtarz, według szkicu Ch. wykonany jest całkowicie z dykty polskiej—zakupionej tutaj. Jeszcze widać polskie znaki fabryczne. W pracę tę włożył cały swój kunszt stolarz kpr. Fr. D. Ołtarz w kształcie tryptyku, ma po jednej stronie herb Szkocji, po drugiej Orła Białego i ozdobiony jest tartanem clanu *Royal Steward.*

W czerwcu b.r. ołtarz wysłany był na wystawę w National Gallery w Edynburgu i głęboka myśl artystyczna oraz wysoki styl wykonania zyskały sobie jednogłośną, pochlebną krytykę ze strony prasy szkockiej.

Uroczystość poświęcenia ołtarza, która dzięki wielkiej idei, jaka przyświecała temu dziełu była właściwie świętem religijnym całego wojska polskiego w Szkocji—odbyła się z żołnierską prostotą w ramach święta baterii.

Warto tu wspomnieć, że intencją wszystkich żołnierzy baterii jest dowieźć ten obraz do kraju i ofiarować go jednemu z nowoodbudowanych po wojnie kościołów. Samego zaś obrazu żołnierze postanowili zawsze i wszędzie bronić jak sztandaru wojskowego.

RYSZARD KRAIŃSKI

Maturzysci Batalionu "szkockiego"

Z końcem ubiegłego roku batalion "szkocki" obchodził nie byle jakie i niezwykłe święto. Uroczystość rozdania świadectw dojrzałości absolwentom kursu maturalnego, które, jak wyraźnie jest w nich zaznaczone—uprawniają do normalnych studiów w szkołach akademickich. Matura w wojsku w warunkach—prawdziwie polowych jest czymś niewątpliwie nadzwyczajnym. Ponieważ zaś była ona w naszym wojsku pierwszym tego rodzaju wypadkiem, wydaje się rzeczą słuszną, powiedzieć kilka słów jak do niej doszło i jaki miała przebieg.

Jak wiadomo, w oddziałach naszych znajduje się wielka ilość młodzieży. Niektórzy z nich, ci szczęśliwsi, byli w tej sytuacji, że w r. 1939 mieli już egzamin dojrzałości za sobą, bardzo wielu jednak w tym roku chodziło jeszcze do szkoły, do której ukończenia brakowało im niekiedy zaledwie kilka miesięcy (II klasa licealna). Dla nich to przede wszystkim zorganizowano w t. zw. "szkockim" Batalionie kurs maturalny. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że wśród ostatnich absolwentów byli tacy, którzy tuż przed wybuchem wojny chodzili w kraju do I lub nawet II klasy licealnej, zrozumiemy, że przyjście im z pomocą było rzeczą pilną i istotną.

Kurs, który miał ich przygotować do egzaminu maturalnego, był potraktowany w ten sposób, że przyjęto za podstawę już istniejące wiadomości, które należało jedynie odświeżyć i pogłębić. W żadnym wypadku nie zaczynano od początku. Ilość godzin wykładów i ćwiczeń wynosiła 740, co licząc przeciętnie po 30 godzin tygodniowo daje 25 tygodni i odpowiada mniej więcej rokowi szkolnemu w kraju. Odpowiada zaś tym ściślej, że w wojskowej "szkole" nie było świąt a nawet niedziel, godziny nie "przepadały," a uczniowie upominali się o każdą minutę.

Pedagogiczna organizacja pracy wahała się między metodą szkolną a uniwersytecką. Kontrola wiadomości była mniejsza niż w szkole, więcej z natury rzeczy pozostawiano swobody w pracy i pilności młodzieży. Nauczyciele w dużej większości nie byli nauczycielami z zawodu, a byli fachowcami w przedmiotach, które wykładali. Nic też dziwnego, iż narzucili uczniom w niektórych gałęziach zbyt wysoki poziom. Ten poziom, jak też i ostre tempo, wprowadzone na początku spowodowało, że 10 kandydatów nie wytrzymawszy—ustąpiło. Zostali tacy, którzy nad swymi przyjemnościami przeszli do porządku, którzy mieli odwagę i wiarę w swe siły.

Sześć miesięcy wytężonej pracy doprowadziło ich do samego egzaminu, który był dla nich egzaminem podwójnym: egzaminem wiedzy ogólnej i wytrzymałości nerwowej. Dwa dni składano część ustną. (Dwóch abiturientów dziennie—egzamin w charakterze eksterna). Ten ostatni miał miejsce w polskim gimnazjum w Dunalastair-House i był może cięższą próbą niż niejeden egzamin w Kraju. 7 godzin odpowiadania i przygotowywania się do odpowiedzi, to przecież praca solidna, w dodatku w ciągu tych siedmiu godzin można się było wiele od egzaminowanego dowiedzieć.

Podkreślić należy bezstronnie, że tak długie egzaminowanie było konieczne. Członkowie Państwowej Komisji Egzaminacyjnej, na czele której stał dziekan uniwersytetu im. J. Piłsudskiego w Warszawie prof. Jarra, zdawali sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na nich ciążyła i nie mogli niepowołanym i nieprzygotowanym wydać uprawnień do studiów w szkołach akademickich.

Sam przebieg egzaminu wykazał przeciętnie wystarczający zasób wiadomości, większy, co jest charakterystyczne ale i zrozumiałe — w naukach ścisłych, mniej głęboki w humanistycznych. Jasną jest rzeczą, że oczytanie w literaturze polskiej nie mogło być takie, jakiego wymagano w Kraju, choćby z tego powodu, że nie było z czego czytać. Opierano się na materiale przeczytanym w Kraju, nielicznych wydawnictwach emigracyjnych i . . . pamięci nauczyciela.

Egzamin wypadł raczej dobrze, jeśli weźmiemy pod uwagę, że na 25 kandydatów, 17-u złożyło go dodatnio, a dwóch przesunęło sobie termin na czas późniejszy.

Pozytywne zakończenie tego kursu ważne jest z dwóch powodów. Po pierwsze dowodzi ono, że i w naszych trudnych warunkach wiele można zrobić, jeśli się chce i ma dobrą wolę, po drugie, że przeszkody, na które napotykamy w naszej pracy są zawsze do pokonania.

Siedemnastu młodych ludzi zostało uratowanych dla pracy nad odbudową kultury polskiej.

EDWARD REJOND



Dowódca Pierwszej Brygady Strzelców wręcza świadectwo dojrzałości jednemu z maturzystów Batalionu "szkockiego"

Przegląd polityczny

Klęska, jaką ponosi Hitler, nie jest jedynie i wyłącznie porażką militarną, wywołaną niekorzystnymi chwilowo warunkami. Jest to klęska całej niemieckiej doktryny wojennej. Wbrew temu, co się mówi i pisze, teoria walki, stosowana przez niemiecki sztab generalny, nie jest ani nowa, ani, za każdym razem, oryginalna. Przeciwnie, doktryna wojenna Hitlera jest dawną teorią jego dzisiejszych przeciwników. Głosili ją w Anglii Fuller, we Francji de Gaulle, w Polsce Sikorski. Polegała ona na stwierdzeniu tej prawdy, że w przyszłej wojnie czynnikiem rozstrzygającym o dynamice ataku nie będzie kawaleria, ale kolumny pancerne i samoloty. Rolę konia odegrać miał motor czołgu i aeroplanu. "Przyszła wojna — jak pisał Sikorski — będzie ruchoma i szybka, przynajmniej w jej pierwszej fazie". Niemcy są narodem nie tyle twórczym ile przetwórczym. Myśli Fullera, de Gaulle'a i Sikorskiego, nie zastosowane w ich ojczyznach —wyzyskał niemiecki sztab generalny, przeistaczając obcą teorię wojny błyskawicznej na swoją doktrynę wojenną.

Do tej doktryny zastosowano całą taktykę: wojna Hitlera miała być gwałtowną kampanią, polegającą na całkowitym zaskoczeniu przeciwnika. Pierwszą, drugą i trzecią linię umocnień frontowych przełamywały kolumny pancerne, wspomagane przez eskadry samolotów. Atak ten, prowadzony bez względu na straty w ludziach i materiale — miał trwać bez przerwy, aż do chwili całkowitego załamania i pokonania przeciwnika.

Wojna błyskawiczna, stosowana z całą dokładnością niemiecką posiada dwie zasadnicze wady:

Przede wszystkim dużą dozę ryzyka. Kampania musi być wygrana w ściśle określonym czasie. Inaczej wszystkie atuty zwycięstwa przechodzą automatycznie w ręce przeciwnika. Wiemy, że Niemcom zaczynało już brakować oddechu w końcowej fazie walk w Polsce. Wiemy również, że w dniu 10 czerwca 1940 roku, de Gaulle zaklinał prezydenta Lebrun'a i rząd francuski, aby decydowali się na przejazd do Quiberon, oparcie o Bretanię— i próbę kontrataku na silnie wyniszczone niemieckie dywizje pancerne. Były one wysunięte daleko przed masy piechoty, wlewającej się dopiero w granice Francji i ryzyko niemieckie było większe, aniżeli się przypuszcza.

Po drugie, stosowanie doktryny wojny błyskawicznej, jest bardzo niebezpieczne jeżeli całą akcję nastawia się jedynie i wyłącznie na "blitzkrieg." W razie przeciągnięcia się kampanii występują momentalnie ogromne braki materiałowe, których szybkie uzupełnienie jest nad zwyczaj trudne.

Hitler nie jest żadnym specjalnym geniuszem jako polityk. Jest to człowiek, który wspaniale wyzyskał więcej, niż straszne i więcej, niż głupie błędy dyplomacji wszystkich państw europejskich. Jako wódz—jest człowiekiem jednej karty. Nie ma on w sobie nic z tej łatwości zmiany decyzji, jaka cechowała Napoleona i której klasycznym przykładem jest kampania we Francji w 1814 roku. "*Muszę zwyciężyć*—mówił niedawno—*chociażbym miał stracić dziesięć milionów ludzi.*" Jest to rozumowanie aż nadto prostackie: Führer nie zdaje sobie nawet sprawy z ogromu wypowiedzianego głupstwa. *Jeżeli straci pięć milionów, nawet trzy, to w tych warunkach, w jakich się znajdują Niemcy musi, po prostu musi—kampanię przegrać i żadna siła ludzka nie powstrzyma katastrofy Trzeciej Rzeszy.*

Napoleon stosował zasadę, że wódz powinien mówić mało, zwięźle i określenia jego muszą być zawsze trafne. Hitler mówi dużo, rozwlekle i bardzo często wypowiada nonsensy. W ostatnich czasach austriackie nerwy Führera nie wytrzymują próby, co jest bardzo złym znakiem dla Trzeciej Rzeszy.

Ta jedna karta, teoria wojny błyskawicznej zawodzi w Rosji. Co więcej. Zawodzi doktryna, której zabrakło rezerwy na wypadek pierwszych niepowodzeń. Pisaliśmy, że skoro na olbrzymich równinach rosyjskich stanie czołg —to momentalnie pojawi się dawny czynnik wojny ruchomej, to jest koń. Obecne walki to potwierdzają.

Co więcej. Zatrzymuje się motor samolotu, ale samolotu niemieckiego. Brak dobrych smarów daje się odczuwać co raz dotkliwiej. Poza tym nie ma samolotów niemieckich, przystosowanych do lądowania na śniegu. Natomiast Rosjanie mają podobno takie eskadry. I komunikaty rosyjskie co raz to częściej podkreślają, że przewaga w powietrzu jest w tej chwili po stronie wojsk sowieckich. Okazuje się, że Niemcy do wojny zimowej w Rosji przygotowani nie byli. Fakt ten może mieć dla dalszego przebiegu kampanii wprost kolosalne znaczenie.

W czasie wojny strategia jest polityką, co więcej, jest jedyną praktyczną polityką. Klęski niemieckie w Rosji wywołują wrzenie wśród podbitych narodów. Nastroje we Francji i ostatnie rozruchy w Paryżu są najlepszym sprawdzianem kruchości całego systemu, którego zmontowanie kosztowało Hitlera tyle krwi niemieckiej. Objawy niezadowolenia i zniechęcenia mnożą się nawet wśród włoskiej partii faszystowskiej.

W basenie Morza Śródziemnego, będącym tak bardzo newralgicznym terenem wojny, akcje Hitlera spadają bardzo silnie. Dlatego też, nie jest wcale wykluczona jakaś wielka ofensywa niemiecka w kierunku Hiszpanii lub Turcji. Klęska Hitlera na wybrzeżach Morza Śródziemnego byłaby początkiem końca i w Berlinie zdają sobie z tego doskonale sprawę. Atak na Gibraltar i Portugalię nie byłby dla nas bynajmniej zaskoczeniem. Przeciwnie, należy się z tą możliwością bardzo poważnie liczyć.

Nadzieją Hitlera, tak wojskową jak i polityczną był—Daleki Wschód. Celowi, jakim było pozyskanie Japonii poświęcił Hitler nie byle co, gdyż całą doktrynę nazistowską o przewadze, o tytule do przodowania idealnego, nordyckiego typu rasy białej na świecie. Radio niemieckie notuje raz po raz wynurzenia polityków azjatyckich, twierdzących, zresztą słusznie, że "zwycięstwo Japonii będzie równoznaczne z usunięciem wszystkich wpływów europejskich w całej Azji." *Dodajmy: zwycięstwo Japonii byłoby początkiem końca tej roli, jaką rasa biała odgrywa w całym świecie.* Byłby to również koniec Europy; klęska nie tylko przeciwników Niemiec, ale prędzej czy później katastrofa wszystkich krajów europejskich, z Niemcami włącznie.

Brak floty, zajętej na wodach europejskich i północno-afrykańskich, brak lotnisk i dużych eskadr samolotowych po stronie Sprzymierzonych — umożliwił Japończykom pierwsze, bardzo poważne sukcesy. Ale sztab japoński porwał się, naśladując Hitlera, na jeszcze bardziej ryzykowne przedsięwzięcie. Mianowicie rozciągnął ogromnie linię operacyj wojennych, które toczą się i w Chinach i na Malajach i na Wyspach Sundajskich i w Polinezji. Ofensywa wojsk chińskich jest bardzo przykrą dla Tokio niespodzianką, tym więcej, że sukcesy Czan-kaj-szeka są wcale poważne.

"*Gdzie jest flota amerykańska* —zapytuje radio niemieckie—*gdzie ta flota?*" Bardzo niebezpieczne wywoływanie wilka z lasu. Jeżeli potężna flota Stanów Zjednoczonych, wspomagana lotnictwem, pojawi się na wodach Dalekiego Wschodu—to wojskom japońskim na Filipinach, na Borneo, na mniejszych wyspach sundajskich grozi całkowite odcięcie. To samo grozi armii Mikada na Malajach, w razie postępu ofensywy chińskiej. Sytuacja jest już lepsza dla sprzymierzonych, aniżeli była dwa tygodnie temu. Przesilenie jeszcze wprawdzie nie nastąpiło, ale można się spodziewać, że nastąpi w niedalekiej przyszłości.

W czasie wojny strategia łączy się najściślej z polityką. Otóż, najważniejszym w tej chwili faktem, mającym ogromne znaczenie polityczne, jest przestawianie doktryny wojny błyskawicznej na wojnę okresową, na przetrzymanie. Po klęskach Hitlera w Rosji przerzucono w Berlinie—gdyż zmusiły ich do tego wypadki—*zwrotnicę kampanii z lądowej na morską.* Flota japońska ma być ostatnim atutem rasistów nordyckich. Hitler musiał wejść na tę drogę, po której od samego początku szła W. Brytania: *wojna na przetrzymanie, cała uwaga na morzach i oceanach świata.*

Znowu bardzo ryzykowny krok: na tym terenie połączone siły amerykańsko-angielskie są znacznie silniejsze. *W dalszym ciągu niepewne jest stanowisko nie tyle rządu w Vichy* (który zresztą, oczywiście znowu pod wpływem wydarzeń na froncie rosyskim, zaczął trochę "stawiać się" dyktaturze berlińskiej)—*ile Francuskiej Afryki Północnej a z nią francuskiej floty wojennej.* Gdyby flota ta wystąpiła po stronie państw sprzymierzonych z Anglią i Ameryką na czele—los osi wraz z Japonią, zostałby przesądzony. Wówczas zagadnieniem najważniejszym byłaby już nie klęska Niemiec, *ale czas, w którym ona nastąpi.* Dlatego zagadnienia francuskie stają się tak niezwykle doniosłe w tej chwili. *Z całym naciskiem należy zaznaczyć, że państwem, dla którego problem francuski nabiera największej wagi—jest Polska.*

tk

Skrzynka pocztowa

Szanowny Panie Redaktorze,

Na str. 25 publikacji swojej p.t. "Styczeń 1942—Fakty i dokumenty" p. Stanisław Mackiewicz, polemizując z p. Antonim Słonimskim, wypowiada o nim następujące zdanie: ". . . ze względu na jego ogromną popularność wśród oficerów i żołnierzy armii polskiej w Anglii, wyrażającej się między innymi w wypraszaniu go z sali, gdy się na występach gościnnych ukaże."

Chodzi tu niewątpliwie o incydent, jaki zaszedł na terenie jednego z oddziałów polskich w Szkocji w końcu lipca r.ub., podczas objazdu tychże oddziałów przez członków P.E.N.-Klubu polskiego z występami autorskimi. P. Mackiewicz wówczas tam nie był, ja zaś byłem, i jako uczestnik wycieczki P.E.N.-Klubu, i jako jej z ramienia władz wojskowych przewodnik. Dlatego poczuwam się do obowiązku stwierdzenia, że określenie p Mackiewicza nie odpowiada prawdzie.

P. Słonimski nigdzie nie był "z sali wypraszany," natomiast wyproszony, a raczej przez zwierzchnika swego z sali usunięty został pewien młody szeregowy z cenzusem, który usiłował zakłócić program przemówieniem, zwróconym przeciw p. Słonimskiemu.

Gdy to zostało dokonane i gdy p. Słonimski uzyskał należyte zadośćuczynienie przez przeproszenie go, czego dokonał tenże zwierzchnik wojskowy, najstarszy stopniem z obecnych, p. Słonimski i inni członkowie P.E.N.-Klubu zgodzili się występ kontynuować, zgodnie z programem. P. Słonimski miał dalszą satysfakcję w rzęsistych oklaskach, jakimi zgromadzona publiczność podziękowała mu za jego autorecytację. Wreszcie podczas śniadania w kasynie miejscowym zwrócił się doń z przeproszeniem jeszcze oficer oświatowy rzeczonej jednostki.

Powyższe stwierdzam nie w celu bronienia p. Słonimskiego, bo nie jestem do tego przez niego upoważniony i sądzę, że sam to potrafi zrobić, jeżeli uzna za potrzebne. Zależy mi jednak na postawieniu władz wojskowych poza zarzutem, że zaprosiwszy imiennie członków P.E.N.-Klubu na objazd oddziałów, nie potrafiły uchronić ich od przykrości albo nie umiały zlikwidować niepoważnego incydentu.

Antoni Bogusławski

* * *

Do Pana redaktora "Polski Walczącej,"

Pozwalam sobie przesłać na ręce WPana kilka słów wyjaśnienia, z prośbą o łaskawe umieszczenie w Jego poczytnym piśmie.

Czytając w Nr. 50 "Polski Walczącej," wspomnienie poświęcone pamięci kpt. Wiktora Brumera podpisane przez pana Andrzeja Doddiesa, zauważyłem w końcowej części nieścisłość, którą czuję się w obowiązku sprostować. Zakończenie to brzmi: "Napewno przykro mu było, że wśród grudek szkockiej ziemi, rzuconej na Jego grób—nie było ziemi ciśniętej ręką polskiego aktora."

Otóż, chociaż w Szkocji znalazło się w wojsku niewielu aktorów, czułem się w obowiązku reprezentować ich na pogrzebie świętej pamięci kpt. Wiktora Brumera.

Tadeusz Olsza

* * *

P.T. Redakcja "Polski Walczącej" w Londynie

Niżej podpisany poszukujący znajomych tą droga w Wielkiej Brytanii uprzejmie prosi o umieszczenie następującego ogłoszenia.

Karol Ranoszek i Paweł Wybraniec proszeni są o podanie swych adresów pod niżej podanym adresem lub do Redakcji "Polski Walczącej," jako też inne osoby któreby znały ich obecne miejsce zamieszkania.

Dr. Jan Koszyk

Gudo, Kanton Tessin, Szwajcaria.

Z góry uprzejmie dziękuję za przysługę i załączam wyrazy prawdziwego poważania.

Polska Misja Katolicka w Londynie przy współpracy z Wojskowym Biurem Propagandy i Oświaty organizuje w dniu 17 stycznia, w sobotę o g.3 po poł. w sali Seymour Hall, Seymour Place, London. W.1 jedyny występ CZOŁÓWKI TEATRALNEJ WOJSKA POLSKIEGO "Lwowskiej Fali."

W programie "CHŁOPCY Z POŁSKI" pióra Wiktora Budzyńskiego (szczegóły w programach)

Bilety w cenie 7/6 do 1/- do nabycia w Kioskach Polskich, w Polskiej Misji Katolickiej, oraz przy kasie.

CZYSTY DOCHÓD PRZEZNACZONY NA POMOC DLA POLAKÓW W ROSJI

OGNISKO POLSKIE, Princes Gate 55.

W sobotę dn. 24 stycznia 1942 r. o g. 5,30 p.p. odbędzie się

WIECZÓR AUTORSKI

P.E.N. Klubu Polskiego w Londynie.

Udział biorą:

p.p. Maria Kuncewiczowa, Irena Tuwim, Stefania Zahorska, Stanisław Baliński, Antoni Bogusławski, Franciszek Czarnomski, Karol Estreicher, Arkady Fidler, Czesław Poznański, Wacław Solski, Antoni Słonimski.

Cena wstępu 2s. 6d.

Cały dochód z wieczoru przeznaczony na pomoc dla pisarzy polskich.

SPIS RZECZY

P. Adam Ordęga prosi p. Zdzisława Charewicza o porozumienie się w sprawie osobistej za pośrednictwem "Polski Walczącej."

Leon ŚWISTUN, poszukuje pp. Karola KOZOWA, Stanisława KMIECIKA, Adama KRZYŻANOWSKIEGO, Eligiusza PANCZYSZYNA i innych znajomych z Horodenki. Zgłoszenia do Administracji "Polski Walczącej."

WYDUJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.